Nr. 5 (1101). Warszawa, dnia 19 Stycznia (1 Lutego) 1902 r. **Rok XXII.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Sto milionów.

Dwór chiński po długiem wędrowaniu z prowincyi Szansi, stanął nareszcie w Pekinie w pierwszej połowie z. m. Cesarz wygląda podobno jak umierający, a cesarzowa wdowa po dawnemu kwitnie i po dawnemu już rządzi. Posłowie europejscy doręczyli swe listy wierzytelne, odbył się akt przyjęcia i powitania, bez dawniejszego, istotnie ubliżającego, ceremoniału. Europa jest znowu przyjaciołką Chin — przyjaźń, wobec której życzyć potrzeba Chińczykom najgoręcej, aby nie byli nieprzyjaciołmi samych siebie. Cesarz czy cesarzowa, jedno z nich miało jakoby powiedzieć, że najważniejszem teraz zadaniem będą reformy wewnętrzne, a, rzecz prosta, Europejczycy dopomagać w nich muszą. Ta pomoc z dalekiego Zachodu, od białych, czy bladych „dyabłów,“ w wielu stosunkach życia i organizacyi niezbędną się okaże; prosty ją rozsądek i sama konieczność podjętych robót narzuci: instynkt zachowawczy jednak powinien jej zażywać z wielką przezornością, z najgłębiej w duszach utajonem i najrdzenniej też własnem, swoistem niedowierzaniem. Nigdy nie zyskuje się cywilizacyi obcej, udoskonaleń i postępów przez nią przynoszonych dla pracy społecznej i potęgi państwowej, bez utracenia czegoś z własnej swej istoty. Stratą jest zawsze zmroczenie samowiedzy, osłabienie tego uczucia, w którem jednostka czy zbiorowość odczuwa sama siebie, czuje i wie, że jest, że być chce i musi być tą samą jutro, jaką jest dzisiaj. Poczucie swej indywidualności, z natury swej zachowawcze, łączyć się przecież powinno, co najmniej, z pragnieniem jak najodpowiedniejszego uzbrojenia się na walkę o byt, jeśli już nie z żądzą rozwijania się od wewnątrz, rozszerzania, potęgowania i rozpościerania nazewnątrz. Tutaj dopiero stają przed wolą zagadnienia postępu, reform, napraw, udoskonaleń—całego rzutu w przyszłość, który przy nierozwadze może być skokiem w przepaść.

Czy tylko przyjdzie rzeczywiście w Chinach do takiego reformatorskiego rzucenia się w zdradliwe fale? Czy bez zmiany uprzedniej, bez zjawienia się nowych ludzi do robót nowych — to, coby podjętem już teraz zostało, mogłoby mieć jakiekolwiek jutro? Nie słychać o żadnej wyższej indywidualności, obok Li-Hung-Czanga stanąć godnej, a on sam, gdyby żył, byłby już zbyt zgrzybiałym, aby cokolwiek podjąć. Jeżeli coś być ma w rzeczywistości, teraz już, i to gwałtownie, powinno być w myśli, która rzeczywistość wytwarza i sama też jest najgłębszą, najistotniejszą rzeczywistością bytu. Zapewne, niejeden z krewnych bogdyhana, z jego sług rządowych i dworskich, i niejeden z mandarynów klas nawet najniższych czuje potrzebę zreformowania wojska, wytworzenia siły zbrojnej, zdolnej sprostać — przyjaźni europejskiej. W tym też najprawdopodobniej kierunku biegną już dziś zamysły chińskie, może nawet wyrobiły się już postanowienia. Wojsko jednak, chociażby, mimo zakazu sprowadzania broni, z własnych arsenałów zasilone, miało wszystkie mechaniczne środki i materyalne zasoby dla siebie niezbędne—będzie tylko kupą zsypanego piasku, jeśli nie posiądzie własnej inteligencyi taktycznej, strategicznej i organizacyjnej. Tę inteligencyę przedewszystkiem wyrobić z siebie, wypracować potrzeba — a jak? Posyłając na akademie europejskie, lub japońskie, młódź wojskową? Zakładając własne uczelnie wyższe i sprowadzając do nich nauczycieli, tak jakby się sprowadziło instruktorów do wyćwiczenia żołnierza w obrotach? Na jedno, ani na drugie Europa nie pozwoli. Ale przypuśćmy, że instynkt zachowawczy wypłata Europie figla i mimo czujności rządu zdoła wreszcie zapewnić niezbędne warunki, najzrozumialszej, najgwałtowniejszej potrzebie—reformie. Do utrzymania wielkiego wojska w sprawności nabytej potrzeba wielkiej administracyi, a w niej wielkiego porządku. Czy zdobędą się na to Chiny przy dzisiejszej swojej organizacyi państwowej? A co z wojskiem, to i z podatkami, ze skarbem, z urzędami do prac reformatorskich powołanymi. Zaczynając od któregokolwiek z punktów na powierzchni, dochodzimy zawsze do punktu utajonego w głębi: do dzisiejszej organizacyi państwowej i ściślej niż gdzieindziej na globie związanej z nią — społeczny. Postęp zaczepia o istotę.

Telegram z Pekinu donosi o 100 milionach taelów, szczęśliwie po powrocie dworu odkopanych. Skarb ten znaleziono nietkniętym: dziw wielki, a zarazem dowód uczciwości chińskiej. W Europie nie utrzymałaby się taka tajemnica. Można powinszować Chińczykom tego szczęścia, które teraz naocznie stwierdzili; ale nie takie

skarby odkopywać oni teraz powinni, jeśli chcą żyć własną swą indywidualnością i uchronić się od losu, który ich skazywać już zaczął na bolesną rolę prostego podłoża dla cywilizacyi europejskiej, powołanej do powolnego zburzenia ich państwa z pomocą europejskich potęg państwowych. Narody słabe jako mocarstwa, choćby tak olbrzymie jak Chiny, narody wydobywające się z padołów na wyżyny — nie taelów, broni, arsenałów i wojsk przedewszystkiem potrzebują, ale ludzi. Nie demokratyczną może jest cześć wielkich ludzi, ale głęboko ludzkiem jest ich pożądanie. W zwykłych okolicznościach, na równinie bytu, kiedy wszystko biegnie prędkością nabytą i niczego wstrzymywać, wyjmować, wstawiać, czy wszczepiać nie potrzeba, jeden człowiek jest równie dobry jak inny; każdy ma znaczenie algebraicznego *a* lub *b*, ale w chwilach przełomów i przeobrażeń koniecznych, przez rozum narzuconych, żaden naród nie obędzie się bez wielkiego człowieka. Musi być wtedy ktoś, kto jaśniej widzi od innych i za innych widzieć umie i chce; musi być wtedy ktoś, kto w większej piersi z większą też siłą bijące serce od losu czy od natury otrzymał, i czuć niem może i działać za innych i dla innych — dla wszystkich. Takie żywe syntezy duchowe to najwyższy dar i potęga na chwilę rozstroju, jaką jest każda chwila dźwigania się z upadku. Tylko taka, za inne czująca, myśląca i działająca osobistość może jasno dostrzedz upadek i silnie zapragnąć dźwignięcia się z niego. Chiny wielkich i świętych mężów mają w swoich tradycyach. Legenda więcej tu tworzyła, niż historya, ale i historya zna fakta rzeczywiście cudownego ratunku, wielkiej reformatorskiej pracy, niezłomnej porządkującej energii — zna ludzi, którzy fakta takie spełniali. Czyby się już grunt chiński wyjałowił?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Prusiech „niebezpieczeństwo polskie" wre, kipi. Wygnano z urzędu nauczyciela za to, że w domu swoim, z rodziną po polsku rozmawia. Ministeryum oświaty powzięło podobno zamiar urządzić w Poznaniu jakąś szkołę, która ma być „prawie - uniwersytetem": zapewne będzie to cielętnik hodujący urzędników i nauczycieli dla prowincyi, na germanizacyę skazanych. Jednego z redaktorów śląskich za artykuły w *Pracy*, skazano na 4 miesiące więzienia. W innym wypadku za obelgę wyrządzoną Niemcom, skazanego zatrzymano natychmiast po wyroku, pomimo prawa apelacyi i—takiej istoty czynu. P. Bülow pomyka wciąż dalej i dalej, czując za sobą cesarza Wilhelma i większość Niemców wschodnich. Wielki związek studencki złożył mu adres dziękczynny. Minister nazwał młodzież podwaliną polityki, która w Prusiech utrwalić się powinna w interesie całego narodu.

W Austryi po krótkiej pogodzie znowu słota: Niemcy znowu grożą wojną, jeśli Koerber nie uchyli się od uniwersytetu czeskiego na Morawach. Izby zbiorą się dopiero w początku lutego. Z Galicyi dochodzi wiadomość o dymisyi p. Pinińskiego; strudzony usuwa się on z urzędu i wraca do Rady państwa. *Wiek XX* donosi, że go chcą zatrzymać; pewniejsze jest doniesienie inne: że mu już obmyśliwają w Wiedniu następcę — jakiegoś generała. Namyślą się chyba i rozmyślą. Jeżeli przyjdzie do zmiany w namiestnictwie, trzeba będzie uważać p. Pinińskiego za ofiarę gniewów cesarza Wilhelma. *Norddeutsche* zapowiedziała swego czasu nacisk, a w stosunku do Austryi, Berlin ma zawsze silną rękę.

Ks. Walii d. 25 z. m. przyjechał do Berlina—na urodziny cesarskie. Jeżeli to miała być serdeczność, trudno o większą mizeryę. Nawet elokwencya cesarza Wilhelma nie umiała się zdobyć na nic lepszego prócz tytułów pokrewieństwa i wspomnień do nich przywiązanych. Sztywność ulicy, która przyjęła księcia milczeniem, złączyła się doskonale z oziębłością dworu, z chłodem samego gospodarza—który przecież zawsze ogień ma na zawołanie—aby z odwiedzin wytworzyć farsę. Młody książę nazajutrz po uroczystości już wyjechał. Dzienniki angielskie skarżą się na złe przyjęcie — i mają słuszność; o zawód doznany niech się zwrócą do króla i ministrów, którzy całkiem niepotrzebnie wystawili przyszłego władcę Anglii na kompromitacyę.

Dania sprzedała swe Antylle Stanom Zjednoczonym: zabrałyby je bez kupna. W kraju dopominano się głosowanie na wyspach; rząd, nie dbając o wolę obywateli swoich, żądanie pominął.

W Chrystyanii agitacya za zneutralizowaniem wszystkich trzech królestw Skandynawskich.

Momentem najbardziej teraz zajmującym jest Koweit i zatoka Perska.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z PROWINCYI.

Jak wygląda prowincya w oświetleniu naszej prasy codziennej?—Koncerty, bale, przedstawienia amatorskie, czasem trochę narzekań na nudy, na brak śniegu, trochę osobistych rachunków pod przykrywką spraw ogólnych — to jest przeważna treść korespondencyj. Czy istotnie ta prowincya jest taka jałowa; czy naprawdę niema tam żadnych objawów życia szerszego? Tak źle nie jest. W ostatnich paru latach na prowincyi naszej życie zaczęło się budzić i kształtować w nowej formie. Powstały we wszystkich guberniach stowarzyszenia rolnicze, spółki hodowlane, powstają stowarzyszenia spożywcze, różne kasy, towarzystwa akcyjne z udziałem szlachty i włościan itd. Nowe ogniska pracy przyciągają nowych ludzi, budzą w nich zdolności uśpione; a jakkolwiek jest to dopiero początek pracy zrzeszonej, zaranie uświadomienia społeczno-ekonomicznego, ruch ten wszakże pozwala wnosić, że prowincya nie śpi w pomroce społecznej, jakkolwiek fale drobiazgowości i powszedniości zalewają dotychczas ją jeszcze dość szeroko. Powódź ta jednak tu i owdzie ustępuje, pojawiają się pełne życia oazy, na

---

5)

M. Grossek.

SERCE.

IV.

Ksiądz Dyonizy dobrze się naszukał Serafiny po całym domu, nim ją znalazł porządkującą w salonie.

Młode, figlarne kocięta, uczepiwszy się u chwastów serwety, ściągnęły ją na ziemię, po klawiaturze tłukł pięściami ten sam mały niegrzecznik, a reszta dzieci pozaprzęgała w jeden szereg wszystkie krzesła i fotele.

Panie cofały się ode drzwi z uwagą:

— Jaka ta Serafina nieporządna!

— Ach, wy psotniki! ach, wy figlarze! — wołała ona tymczasem, podnosząc z ziemi książki, albumy i poduszki.

Rozpędziła kociarnię, wygłaskała dzieci i zabrała się do ustawiania mebli, gdy wszedł ksiądz Dyonizy.

— Jutro wyjeżdżam — rzekł posępnie, siadając z nią na maleńkiej kanapce pod oknem, oświetlonem złotą zorzą zachodu.— Nie wiem, kiedy ja tam wrócę z tego Karlsbadu... a tymczasem mam z aśćką do pogadania... do pogadania... Aśćka—rzekł, prostując swe zgarbione plecy atlety — zaczynasz mi ot tak... chodzić — mówił, zakreślając palcem przed sobą ruch wahadła — Podtrzymujesz stosunki z tymi... wiesz?.. co to żyją z sobą „na wiarę," wbrew religii i opinii całego miasta! — tu palec podniósł w górę — w kuchni trzymasz dzieciobójczynię, która w twym własnym domu spełniła zbrodnię, a którą te waryaty (czytaj przysięgli) uwolnili wbrew oczywistej sprawiedliwości... Teraz znów wzięłaś do domu opoja, heretyka, zbereźnika, hulakę!..

Ksiądz przybrał twarz, dykcyę, mimikę i styl z kazalnicy. Pociągnęła go rutyna nie tam widocznie, gdzie zamierzał, bo się po chwili opamiętał. Głos jego spadł, stając się naturalniejszym i serdecznym, zaczął używać wyrazów mniej grzmiących a więcej wykształconych i oderwanych — i na twarz jego wystąpiła „dusza... nie ta „zdawkowa," którą się ma dla wszystkich, lecz to w niezliczonych osłonkach głęboko ukryte jądro duszy, które w nas oglądają tylko niekiedy wybrani.

— Po co wy karmicie, moi drodzy, tę całą zgraję próżniaków i darmozjadów, powiedz mi, po co? Ta szarańcza objada was i śmieje się... ma was za głupców! Ja wiem, że to twoja w tem ręka... Tymczasem twojem byłoby zadaniem przeciwnie skupiać i oszczędzać wasze wspólne mienie dla dziatek. Pozwalasz się upokarzać złym i głupim! Ach, dobroć twoja jest na błędnej drodze! Dziwisz się mnie, że ja, ksiądz, tak mówię? Bo na tym marnym, nędznym świecie nie może być nic wielkiego — nawet cnota, za wysoko szybująca, łamie skrzydła i upada w występek. Chrystus, stawiając na piedestale tę pokorę, która uderzona w policzek, nadstawia drugi, i tę miłość, która garnie do serca wrogów, postawił ideał, o który kusić się mogą tylko dusze wybrane i stojące po-za i po-nad życiem. Są to prawidła dla pół-aniołów i półanielskiego życia. Kościół zaś, który je przystosował do nas, zwykłych ludzi i do potrzeb naszego mrowiska, przed wszystkiemi innemi cnotami zaleca mądrą sprawiedliwość: ustanowił karność—złe powinno być ścigane już na tym świecie i nagrodzona cnota. Kościół nazywa oburzenie „świętem"— on sam wyłącza z grona wiernych owce parszywe. Ustanowił też hierarchię wśród rozlicznych obowiązków człowieka. Ten kościół tobie każe żyć przedewszystkiem dla rodziny. Doktryny jego można przefilozofować, można je, godzę się na to, anielskiem czuciem prześcignąć — ale dla życia praktycznego nic mędrszego ani żywotniejszego nie wymyślisz. Mądrość rzymskich biskupów jest jak stare, wytrawne wino, posilne i rozweselające. Kościół dba nietylko o cnotę, ale jest także stróżem bezpieczeństwa i szczęścia społeczeństw. Doktryny jego prowadzą lud tymi ubitymi gościńcami, na których stare jego, jak świat, doświadczenie, przewidziało i zapobiegło wszystkim złym przygodom. Idąc za niemi, masz możność przeżyć nietylko najcnotliwiej, ale i najharmonijniej i najbezpieczniej, z najmniejszym wydatkiem sił i największą korzyścią, bez próżnych szarpań i pokus nad siły. A ty odtrącasz tak przezornego i wypróbowanego przewodnika i idziesz wyłącznie za swem sercem, które cię upaja własną swoją słodyczą. Ale na to potrzeba ci było obrać inne życie — powinnaś była pójść do klasztoru — dla życia jesteś za piękna. Dlaczego nie poszłaś do klasztoru? Ja się o ciebie boję. Bacz, aby ludzie, z którymi żyjesz,

których ludzie, porywani coraz gwałtowniej szerszym prądem spraw ogólnych, otrząsają się z kurzu małostkowości. Wprawdzie wint zabija jeszcze dotąd wszelkie aspiracye i porywy szczytne wśród inteligencyi napływowej, obejmującej nowe stanowiska z namaszczeniem apostolskiem; wprawdzie współzawodnictwo popycha ludzi, stojących na wysokim szczeblu umysłowym i społecznym, do niecnych czynów i spycha ich po pochyłości etycznej na poziom znachorów, pokątnych doradców i wszelkich innych szalbierzy, ale to wszystko nie daje powodu do malowania rozpaczliwie czarnych obrazów życia prowincyonalnego.

Jedną z żywotniejszych spraw ogólniejszej natury jest obecnie kwestya robotnicza we dworach. Niema dziś już towarzystwa rolniczego, któreby nad tem nie rozprawiało. Z tej wymiany zdań i uwag widzimy, iż właściciele folwarków podzielili się na dwa obozy: jedni postępowi z konieczności, godzą się z potrzebami istotnemi i doszli do wniosku, że obecna skala płacy i wogóle utrzymanie robotnika wiejskiego nie odpowiada wymaganiom rzeczywistym; radzą więc nad sposobami naprawy dobrobytu pracującej ludności wiejskiej. Rozumują oni bardzo rozsądnie: dobrze uposażony robotnik będzie lepiej pracował, nie tak łatwo pociągnie go fabryka lub zagranica. To są główne motywy, godzące tych zarobkodawców z rzeczywistością. Drudzy, gwałcąc najelementarniejsze podstawy logiki, chcą utrzymać stan dotychczasowy, twierdzą, że chłopu aż nadto wystarcza to, co ma, że fabryka i zagranica znieprawiają go ostatecznie, rodzą pańskie zachcianki, próżniactwo itd. Oto w jaki sposób jeden z tych panów na łamach *Gazety Radomskiej* kreśli obraz owego zepsucia: „Gonienie za zbogaceniem się i lepszymi zarobkami zwykle smutnie się kończy dla emigrantów wiejskich. Przed dwoma laty, gdy nastała gorączka fabryczna, emisaryusze wysłani od fabryk *za* (!) robotnikami, potrafili obałamucić w różnych miejscach ludność wiejską widokami bardzo wielkich zarobków. Z sąsiednich obok mnie trzech wiosek wyemigrowało 27 młodzieży obojej płci dla zdobycia złotego runa do kopalni starachowickich, na flis do holowania galarów z kamieniami i do fabryk. Po roku emigranci wrócili, prawda, że przynieśli po 60—100 rubli oszczędności każdy, lecz czterech 23—27-letnich chłopaków leży przerwanych i zapewne się nie wychorują; dwu zmarło na gwałtowne zapalenie płuc; dwie kobiety zmarły z przerwania; trzy dziewczęta wróciły z powiększoną familią, a czworo ludzi bardzo zdrowych poprzednio, wróciło zagrożonych suchotami!“

Tymczasem miejscowi parobcy—zachwala dziedzic — są żywi i zdrowi w całym komplecie, żaden nie dostał suchot, ani się też nie przerwał. Pomimo że p. Rudzki, autor tego obrazu, ciska pioruny na literatów za dotykanie stosunków wiejskich, ośmielam się jednak twierdzić, że życie robotników wiejskich i ich rodzin na wsi nie jest tak rozkoszne, że suchoty, choroby i śmierć z przerwania nie są rzadkie i na wsi, że wreszcie śmiertelność śród tej ludności jest stosunkowo bardzo znaczna.

Rozsądniejsi właściciele folwarczni, godząc się z nieuniknionemi przemianami form i warunków bytu i obliczywszy, iż podniesienie płacy bez podniesienia kultury i techniki gospodarczej, może ich doprowadzić do ruiny, postanowili wytężyć swoje siły w zakresie udoskonaleń, prowadzących do zmniejszenia ilości rąk roboczych. Dążność ta, jako typowy objaw ewolucyi gospodarczej, musi z czasem zapanować powszechnie. Wielki przemysł fabryczny, krzywdziciel rolnictwa, który odciąga od ziemi najlepsze, najsprawniejsze siły robocze, jest zarazem bodźcem dla rolnictwa do przybrania tych samych form, jakiemi jego wróg się posługuje: do wprowadzenia fabrycznej produkcyi przetwórczej. Szerzy się ona coraz bardziej i coraz widoczniej śród ziemian naszych, a nawet zaczyna się już wkradać do gospodarstwa włościańskiego, o czem świadczy cukrownia akcyjna, do której pospołu ze szlachtą należą chłopi.

Wogóle śród ludu naszego ujawniają się coraz większe dążności do pracy zrzeszonej i do ulepszeń technicznych, co między innemi stwierdziły także urządzone przez sekcyę rolną konkursy gospodarstw włościańskich. Lud zaczyna tworzyć stowarzyszenia spożywcze, coraz częściej ucieka się do narzędzi ulepszonych i nawozów sztucznych, coraz uważniej przygląda się syndykatom rolnym. Prawda, że w niektórych zakątkach kraju ludność włościańska jeszcze nie wyszła z powijaków pierwotnych, że na tkacza-instruktora patrzy z nieufnością, jak na wroga i zapytuje, czy ma pasport, że przesądnie trzyma się odwiecznych form i zwyczajów gospodarki; wogóle wszakże dąży do ulepszenia i ocenia coraz bardziej znaczenie pracy zbiorowej. Dlatego też byłoby rzeczą bardzo pożądaną dopuścić włościan do syndykatów rolniczych, spółek hodowlanych, jarmarków nasiennych itd.

Pisma doniosły, iż bawi obecnie w Warszawie p. Lewitski, znany twórca arteli rolniczych na południu Cesarstwa. Podobno sprowadziła go tutaj pewna grupa ludzi, która zapragnęła zapoznać się z ową organizacyą ekonomiczną aby wprowadzić ją u nas. O artelach rolniczych włościańskich, urządzanych przez p. Lewitskiego, pisaliśmy przed kilku laty w *Prawdzie*. Obecnie zaznaczyć musimy, że się rozwijają one świetnie i zyskują coraz szersze uznanie. Są to stowarzyszenia wspólnej pracy na roli; artele tworzą się z dziesięciu lub więcej gospodarstw włościańskich. Wszystka ziemia własna, jak również dzierżawiona, stanowi jedną całość i znajduje się we wspólnem władaniu całego artelu. W ten sposób połączona ziemia uprawia się i dzieli na równe części, stosownie do liczby członków stowarzyszenia. Kto posiada gruntu mniej, niż wypadło mu z tego podziału, musi wnieść do kasy ogólnej sumę odpowiednią; kto zaś posiada więcej, otrzyma stosowną dopłatę. Wszystkie podatki i ubezpieczenia opłacane są wspólnie. Wszelkie narzędzia i wogóle środki prowadzenia gospodarstwa mieszczą się w jednej zagrodzie. Związek posiada wspólną oborę, stajnię, chlewnię itd., wspólnie uprawia grunty, zasiewa i zbiera, wspólnie zakupuje narzędzia i maszyny. Jeden artel lub kilka tworzy stowarzyszenie spożywcze. Plony dzielą się pomiędzy członkami związku, stosownie do liczby rąk roboczych. Wszystkie artele w jednej wsi lub w okolicy mogą stworzyć ogólną kasę artelową na potrzeby gospodarstwa, na pomoc w razie wypadków nieszczęśliwych itd. Artele mogą się

---

o pospolitych chuciach i małoduszności, nie wciągnęli twej dobroci w występek.

Twarz księdza Dyonizego, gdy tak mówił, przeistaczała się do niepoznania. Byłże to ten sam, który tak sapał, rzucał się i wymyślał przy kartach, który mlaskał językiem, zawiązując serwetę pod brodę, gdy mu uprzejme gospodynie podsuwały najlepsze kęski, wiedząc, że jest smakoszem?

Zaczynała go teraz rozumieć. Więc to on tak się obniżył do poziomu życia wkoło siebie, tak się przystosował do ludzi, z którymi musiał obcować. Wtłoczył się w ciemną formę pospolitego człowieka i czasem tylko umysł jego, jak ślimak, wysuwał ze skorupy rogi. Wtedy to twarz mu się układała w te dziwne zmarszczki, bruzdy, wydatności i doły, które powyciskała na niej myśl, samotnie pracująca przez długie lata, wśród ciszy domku na probostwie.

Serafina przykleiła do tej twarzy swoje wielkie, zdumione barwinki, zalękniona, niepojmująca dokładnie, czego ksiądz chciał od niej. Ganił ją i chwalił... Zapewnie nie jest taką, jaką być powinna i trzeba się starać być lepszą — tyle zrozumiała z całej teoryi o dwoistej moralności: anielskiej i ludzkiej. Ksiądz spostrzegł, że nie został zrozumiany, że strwożył ją tylko i zasmucił niepotrzebnie i wyrzucał sobie, że nie umiał nagiąć się do jej umysłu.

— No, no! — rzekł z uśmiechem, a na twarz jego wracał już wyraz zwykły — ja, kapłan, namawiam cię, żebyś była gorszą, nie masz się więc czego martwić! A przywiozę ci ślicznych cebulek z Karlsbadu. Te szelmy Niemcy umieją kwiaty hodować! Co tam za pyszne, mówię ci, lilie, hyacenty i tulipany...

V.

Pan Stanisław wyprowadził już za bramę proboszcza a jeszcze nalegał, aby się ksiądz pozwolił odwieźć. Ale gdzież tam! ksiądz nie chce szarabana, trzepie rękami, fuka na aptekarza. Cóż to on niedołęga, czy co takiego? Otóż właśnie, że pójdzie! Ma jeszcze, dziękować Bogu, własną tęgą trójkę: parę nóg i kij sękaty, cudzych koni nie potrzebuje. I wtłoczywszy na oczy duży kapelusz z prostej słomy, którego szerokiem koliskiem wiatr poruszał, poszedł pod górę na probostwo, głośno sapiąc i opierając się na kiju tak ciężko, jakby go chciał za każdym razem wbić w ziemię. Idąc, nie zwracał uwagi na przechodniów, rzadko komu się odkłonił, sam z sobą głośno gawędził: to ręce rozkładał jak gdyby przekonywał, to kroku przyspieszał, niby uciekając od goniących za nim myśli niemiłych, chwilami znowu przystawał jak gdyby zagadnięty znienacka i brwi podnosił pytająco, wargi odymał, żuł szczękami i rzucał po kilka gniewnych wyrazów.

Interesy Kuczów stały nieświetnie, „mówiąc między nami — mruczał tajemniczo— źle z nimi... pożyczają na dwadzieścia cztery procent... Ta szarańcza ich zje... dzieci się zmarnują, a oni pójdą na żebry“—machnął ręką żałośnie.

Kucz prowadził swój interes uczciwie, falsyfikatów nie używał, dla ubogich zniżył ceny — prawda, że wywołał tem większy ruch handlowy, korzyścią swą pokrywający szlachetne ustępstwa, ale wywołał też z drugiej strony koalicyę zagrożonych interesów, która go mogła wkrótce z nóg zwalić. Ksiądz Dyonizy radził, co robić aby się z matni wydostać, ale Kucz myśleć i działać systematycznie nie lubił... Ksiądz przeto probował ratować ich z innej strony: uderzył do Serafiny i nie został nawet zrozumianym. Zresztą z góry przewidywał, że to naprózno. Pokiwał głową, zrezygnowany, stanął, zażył tabaki i kichnął potężnie, co go orzeźwiło. Nie, nie potępia Serafiny, jest tak rzadkim księdzem, że zna żelazne prawa charakteru. Ba! z własnego zna doświadczenia. Bo i on nie jest tak trzeźwym i praktycznym, za jakiego rad w mowie się przedstawia... Żałuje tylko Serafiny i idąc, rozmyśla nad nią:

Czemu jej sercem nie rządzi wyższa inteligencya?! Gdyby ten umysł nie dawał się opanowywać wrażeniom bezpośrednim najbliższego otoczenia, gdyby się umiał wznieść do szerokiego na świat poglądu! ...jej działalność rozproszona, drobiazgowa i bez planu, jej dobroć improwizowana i bez steru zestrzeliłaby się może w jedną siłę, która popchnięta w rozumnym kierunku, mogłaby dźwignąć na świecie jakieś wielkie dzieło miłosierdzia! Może jej serce padłoby rosą niebiańską na świat jałowy i od egoizmu spieczony, jak niegdyś serce Wincentego a Paulo i Franciszka z Assyżu; lecz pozbawiona geniuszu, zostanie perłą ewangeliczną: drobną, bezbronną i wdzięczną, której przeznaczeniem siać blaski przed tępe, plugawe zwierzęta! — być zdeptaną!—być zapomnianą!

. . . .

(C. d. n.).

łączyć z sobą i tworzyć jeden wielki związek, który, dzięki środkom zwiększonym, pozwala już nabywać kosztowne narzędzia i maszyny, urządzać warsztaty, sklepy itp.

Takie są główne zasady związków p. Lewitskiego. Powstało ich już przeszło sto w guberniach: Chersonskiej, Połtawskiej, Noworosyjskiej, Ekaterynosławskiej, Kijowskiej i innych.

Rozwijają się bardzo pomyślnie. Niewątpliwie dałyby się one zaszczepić i u nas z pewnemi zmianami, stosownie do warunków miejscowych. Co do strony formalnej, nie może być żadnych trudności, gdyż stowarzyszenia takie są zawiązywane na zasadzie artykułów prawa istniejącego. Chodzi tylko o inicyatywę. Zdaje się, że nasze stowarzyszenia rolnicze mogłyby dużo w tej sprawie zdziałać.

Drogomir.

LISTY GALICYJSKIE.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej tragikomicznego nad dzieje liberalizmu mieszczańskiego w Galicyi. Od wielu lat liberali galicyjscy występują w roli jedynego demokratycznego stronnictwa galicyjskiego i od wielu lat demokracya galicyjska przedstawia obraz ostatecznej nędzy politycznej. Czytając ostre wycieczki przeciwko szlachcie i jej rządom w prasie „demokratycznej,“ zwłaszcza w okresie przedwyborczym, można myśleć, że się ma do czynienia z grupą ludzi, szczerze opozycyjnie usposobionych i naprędce dążących do osiągnięcia reform demokratycznych. Tymczasem mijają wybory—i autorowie ostrych artykułów antystańczykowskich składają broń i wysługują się stronnictwu rządzącemu, „demokraci“ wchodzą do Koła Polskiego i dobrowolnie popierają wszelką politykę reakcyjną i antyludową. Przez jakiś czas mogło się wydawać, że z obozu „demokratycznego“ wyjdzie bodaj szczupła grupka szerokich opozycyonistów. Istotnie obóz „demokratyczny rozpadł się na dwa odłamy: czysto reakcyjny — demokratów-secesyonistów i niby opozycyjny demokratów skoncentrowanych, grupujących się dokoła *Słowa Polskiego* we Lwowie. Ci wypowiedzieli stańczykom na całej linii wojnę, która trwała aż do... wyborów. Gdy te przyszły, opozycya skoncentrowanych zmiękła. Po wyborach zaś najbardziej opozycyjni demokraci skoncentrowani — Romanowicz, Rotter, Grek, weszli do Koła Polskiego, a więc zawiesili na kołku całą swą opozycyjność.

Przed wyborami do sejmu skoncentrowani znowu poczęli posługiwać się frazesami opozycyjnymi, wygłaszali obietnice pracowania w duchu demokratycznym i przedewszystkiem wywalczenia V kuryi w sejmie. Pod tem ostatniem hasłem zostali wybrani do sejmu główni przedstawiciele skoncentrowanych. Tymczasem po zdobyciu mandatów sejmowych, ci panowie ani pomyśleli o spełnieniu uroczyście danych obietnic. Podczas sesyi wiosennej pp. Romanowicz i towarzysze nie postawili wniosku, dotyczącego reformy wyborczej, choć byli do tego wprost obowiązani. Podczas ostatniej, dwudniowej sesyi sejmowej, przedstawiciel stronnictwa ludowego, poseł Stapiński, zwrócił się do skoncentrowanych demokratów o podpisy pod wnioskiem o zaprowadzenie powszechnego, tajnego prawa wyborczego. Ale ci panowie odmówili swoich podpisów i sami nie podali innego wniosku.

Niedość, panowie skoncentrowani weszli w porozumienie z reakcyjnemi secesyonistami. Podczas ostatniej sesyi sejmowej we Lwowie odbyła się narada pomiędzy obydwoma odłamami demokratycznymi — klubem demokratycznym (skoncentrowani) i lewicą sejmową (secesyoniści). W naradzie brali udział również „demokratyczni“ posłowie do parlamentu. Przedmiotem narady była sprawa przypuszczalnego połączenia się obu klubów tak, aby posłowie „demokratyczni“ mogli występować jako jednolita całość. Słowem, chodzi tu o powrót do stanu, poprzedzającego rozłam, czyli—o wyparcie się przez „skoncertowanych“ wszelkich naleciałości demokratycznych. Tak zrozumiały to połączenie się organy całej prasy galicyjskiej—od stańczykowskiego *Czasu*, aż do ludowego *Kuryera Lwowskiego* i prasa „skoncentrowanych“ bynajmniej temu nie zaprzeczyła. Główny jej przedstawiciel—*Słowo Polskie*, wykręca się, jak może, pragnąc udowodnić, że zdrada zasad demokratycznych bynajmniej nie była popełnioną przez skoncentrowanych.

Nadanie praw wyborczych warstwom, pozbawionym ich dotąd, to jest zasada programowa — pisze p. Rutowski w *Słowie Polskiem* — a od tej zasady klub demokratyczny polski na włos nie odstępuje. Na tym punkcie niema ustępstwa, niema też potrzeby jakiegokolwiekbądź ustępstwa — bo na to jest zobopólna zgoda... Zapewnienie to ładnieby wyglądało, gdyby zasługiwało na wiarę. Skoncentrowani, poprostu, przygotowują sobie furtkę do odwrotu od żądania nawet karykatury reformy wyborczej w postaci V kuryi. Ten sam p. Rutowski jedna z głów „skoncentrowanych“—pisze: „Rzeczą dalszego porozumienia będzie, czy zasada ta ma być przeprowadzona za pomocą utworzenia V kuryi, czy *inaczej.*“ To słówko „inaczej“ wygląda całkiem niewinnie, a tymczasem treść jego jest bardzo znamienna. Zasada głosowania powszechnego może być urzeczywistniona przez zniesienie wszystkich kuryj lub przez wprowadzenie go w kuryi miejskiej albo chłopskiej. Ale wszystkie te sposoby urzeczywistnienia zasady powszechnego głosowania są bez porównania radykalniejsze od wprowadzenia V kuryi, więc nie może być mowy o zgodzie na którykolwiek z nich ze strony „secesyonistów.“ Jeśli sobie przypomnimy, że rozłam w obozie „demokratycznym“ wynikł z wypowiedzenia się dzisiejszych „skoncentrowanych“ za V kuryi, w takim razie nie trudno wywnioskować, że słówko „inaczej“ świadczy o pogodzeniu się „skoncentrowanych“ z „secesyonistami“ na punkcie reformy wyborczej, czyli wyrzeczenie się przez tych pierwszych *wszelkich* sposobów urzeczywistnienia zasady głosowania powszechnego.

Ciekawe jest również stanowisko „skoncentrowanych“ względem t. zw. „Maffii galicyjskiej“ — komitetu centralnego, któremu „secesyoniści“ ulegają bezwzględnie. P. Rutowski pisze: „Sprawa komitetu centralnego nie jest obecnie po świeżych wyborach do rady państwa i sejmu aktualną. Ona na całe 5 lat co do Rady państwa, a na 6 lat co do sejmu nie ma praktycznego znaczenia.“ Coś podobnego może napisać tylko człowiek, zasadniczo wyrzekający się wszelkiej walki z zepsuciem kliki, rządzącej Galicyą. Istotnie, nic podobna obecnie uważać wszystkich tych pp. Rutowskich, Romanowiczów, Greków, Rotterów za coś odmiennego od lokajów stańczykowskich w rodzaju Merunowicza, Michalskiego itd.

Stanowczo nie można wyglądać ratunku dla Galicyi z kół mieszczaństwa liberalnego. Przedstawiciele jego zawsze będą zdradzali sprawę postępu i demokracyi, gdyż nie posiadają w Galicyi tego potężnego oparcia, jakie daje gdzieindziej stronnictwom liberalnym przemysł rozwinięty. Liberali galicyjscy są zależni finansowo od szlachty, muszą zajmować posady w instytucyach, znajdujących się w ręku szlachty, która im wyrabia kredyt; cóż więc dziwnego, jeśli się czują wobec niej bezsilnymi. A przemysłu w Galicyi jak niema, tak iema, choć się o nim tyle pisze i mówi.

Ostatnimi czasy na temat przyszłości przemysłu galicyjskiego przemawiał w Towarzystwie politechnicznem we Lwowie p. Ossowski, asystent politechniki lwowskiej. Prelegent stwierdził fakt, że większe przedsiębiorstwa przemysłowe w Galicyi upadają jedno po drugiem; że od lat 25 w kwestyi podniesienia przemysłu Galicya nie postąpiła ani o krok naprzód. [illegible]czył, że zainteresowanie się publiczności polskiej przemysłem krajowym jest ogromne i dochodzi nieraz do naiwności w ofiarowywaniu kapitałów, że autonomia popiera przemysł jak może i umie, a jednak on upada. Prelegent widzi przyczynę tego w braku silnego i inteligentnego stanu przemysłowo-technicznego i przemysłowo-handlowego. Punkt widzenia nowy i dość oryginalny, głównie ze względu na swą naiwność. Jak gdyby możliwym był silny i inteligentny stan przemysłowo - techniczny tam, gdzie niema przemysłu. Wykład p. Ossowskiego wywołał bardzo szerokie rozprawy, które zajmą prawdopodobnie kilka zwykłych posiedzeń tygodniowych, ale które naturalnie nie rozwiążą kwestyi praktycznie.

Dopóki nie będziemy mieli w Galicyi rozwiniętego przemysłu wraz z silnym i inteligentngm stanem przemysłowym — zamiast liberałów w guście europejskim, będziemy mieli stańczyków, posługujących się frazeologią demokratyczną, w rodzaju Rutowskich, Lewickich, Romanowiczów itp.

Nie czekając aż mieszczaństwo z rozwojem przemysłu zorganizuje się w samodzielną partyę postępową, ludowcy galicyjscy pragną wciągnąć żywioły mieszczańskie do własnej organizacyi. Świeżo stronnictwo ludowe ogłosiło w swym organie, *Kuryerze Lwowskim* „odezwę do mieszczan,“ nawołującą ich do wspólnej pracy z obudzonym już ludem wiejskim nad odrodzeniem kraju. W pracy nad podźwignięciem stanu mieszczańskiego, nad odrodzeniem ekonomicznem Galicyi komitet lwowski stronnictwa ludowego, który ogłosił tę odezwę, liczy na „bratnie współdziałanie mieszczaństwa rusińskiego.“ Odezwa, kładąca specyalny nacisk na sprawę wyodrębnienia Galicyi, kończy się wezwaniem do mieszczaństwa: „Łączmy się i organizujmy pod sztandarem stronnictwa ludowego.

Nie wiadomo, w jakiej formie ma nastąpić (o ile nastąpi) to połączenie się żywiołów mieszczańskich ze stronnictwem ludowem. Dotychczas było ono chłopskiem w najściślejszem tego słowa znaczeniu. Należący doń przedstawiciele innych warstw wystąpili w charakterze obrońców interesów chłopskich. Cała praca ludowców była rozwijana na wsi, do wymagań wsi też przystosowany jest ich program, który obecnie musiałby być rozszerzony i dopełniony, skoro stronnictwo ma zamiar rozpocząć pracę agitacyjną i organizacyjną w mieście. Nie wiadomo, na jakie żywioły liczy stronnictwo ludowe, ale chyba tylko wśród majsterków i drobnych kupców oraz wśród inteligencyi znajdzie zwolenników. Wśród pierwszych, zwłaszcza po małych miastach prowincyonalnych, ludowcy już posiadają gdzieniegdzie oddanych sobie ludzi, jak o tem świadczą wyniki wyborów. Co do inteligencyi, to ta, nie wyłączając młodszego jej pokolenia, studentów, nie darzy obozu ludowców zbyt wielkiem zaufaniem. Młodzież akademicka we Lwowie— po za obojętnym, goniącym jedynie za karyerą jej odłamem — sprzyja albo partyi socyalistycznej, albo dążnościom narodowym, przybranym w pawie piórka płytkiej frazeologii, cechującej taki *Wiek XX* i pokrewne jemu organy. Ogniskiem tych zapatrywań wśród młodzieży jest „Czytelnia akademicka,“ niedawno jeszcze posia-

dają i większość, sympatyzująca z ludowcami.

Zapatrywania *Wieku XX* nie znajdują miru wśród ludowców, to też ich organ coraz częściej występuje przeciwko niemu i jego redaktorowi, p. Popławskiemu. Bardzo jest znamienny ten rozdźwięk, jaki się wkradł w ostatnich czasach w stosunki dwóch obozów, do niedawna tak blizkich, niemal identycznych pod względem przekonań. Tłomaczy się on w części - ale tylko w części - - zradykalizowaniem się ludowców i widocznem przesunięciem się na prawo ich dzisiejszych przeciwników z pod wspólnego niegdyś znaku.

W Przemyślu odbył się niedawno drugi z kolei zjazd galicyjskich organizacyj zawodowych. W ciągu dwóch dni obradowało 50 delegatów z kilkudziesięciu miejscowości Galicyi. Głównym tematem obrad kongresu było pytanie: związki centralne, czy krajowe? Rozstrzygnięto kwestyę w ten sposób, że za najdogodniejszą uznano formę autonomiczną związków, które jednakże powinny znajdować się w nieustannej łączności ze związkami centralnymi. Kongres powagą swoich obrad i rzeczowością rozpraw zrobił jak najkorzystniejsze wrażenie i jeszcze raz udowodnił, że robotnicy galicyjscy są zupełnie dojrzali do samodzielnej roli w życiu publicznem.

Wkrótce mają się odbyć wybory dopełniające do lwowskiej rady miejskiej. Po raz pierwszy mają w nich wziąć udział i socyaliści, którzy stawiają podobno kandydatury inż. Czajkowskiego, dr. Diamanda i dr. Hankiewicza (Rusina), redaktora *Woli*.

Daleki.

EVIVA LA CAMORRA.

Matylda Serao należy do największych talentów współczesnej literatury włoskiej. Nietyle olśniewa jaskrawość barw, w które obfituje jej paleta, nietyle przemawia do serca jej styl, pełen niewymownego powabu, ile wstrząsa potęga, z jaką spada chłosta jej satyry na wszystko, co jest śmiesznego i nikczemnego w życiu Włoch współczesnych. Gdy pani Serao wywijała swym biczem w powietrzu, to świst jego słychać było w całej Europie. Ta wielka mistrzyni słowa i władczyni serc ludzkich ma męża, który wraz z nią stanowi nieznany w dziejach akord literacki. Pan Scrafoglio jest dziś największym publicystą we Włoszech, królem fejletonu i polemiki dziennikarskiej. Zwłaszcza zyskały sobie rozgłos jego artykuły po znanej porażce włoskiego wojska przy Adui. Jakże gromił on wówczas rząd za jego niedołęstwo, jak ośmieszał karłów pozujących na wielkich bohaterów! Scrafoglio nawoływał naród do przywdziewania nawet żałoby. Słowem jest to gorący, szczery patryota, występujący również jak i jego małżonka, w imię „piękna, dobra i prawdy." Ale oto pewnego dnia jedno z pism obozu społecznego zamieściło artykuł, w którym autor ośmielił się twierdzić, że państwo Scrafoglio-Serao wprawdzie nie utrzymują ani domu publicznego, ani szulerni, ale za to prowadzą handelek wszystkich bez wyjątku urzędów miejskich. Scrafoglio zapałał gniewem i wystosował w odpowiedzi szereg artykułów, z których każden był żelazem rozżarzonem, piętnującem potwarców. Tylko ludzie—wołał on—dla których nawet własność prywatna nie jest świętą, którzy chcą zaprowadzić wielożeństwo i zburzyć cały doskonały i harmonijny ustrój społeczny, mogą zdobyć się na tak nikczemne kłamstwo, a co ważniejsza—zrobić zamach na honor najszlachetniejszej i największej kobiety, jaką kiedykolwiek wydały Włochy. Wkrótce pani Serao ogłosiła sama powieść p. t. „Życie i przygody Ricardo Joanny," w której prawdziwie po mistrzowsku naszkicowała sylwetkę wielkiego publicysty. Ale, dziwna rzecz, nikczemni socyałowie, nietylko nie przestali czernić zasłużonej pary, ale wytoczyli przeciwko nim nieskończony łańcuch oskarżeń, w których figurowały żywe, powszechnie znane osoby, niewątpliwe fakty i - last not least— cyfry bardzo pokaźne. Skandal przybrał nareszcie takie rozmiary, iż rząd musiał przeprowadzić ankietę, która wyrosła do wielkości dwu olbrzymich tomów i odsłoniła straszny obraz Kamorry (Camorra) w Neapolu. Sprawa ta wstrząsnęła gwałtownie opinią publiczną Włoch i niedawno doprowadziła między innymi do wielkiego skandalu w parlamencie włoskim.

Camorra neapolitańska była towarzystwem „akcyjnem" wzajemnej adoracyi i protekcyi, połączeniem ludzi wpływowych pod godłem „ręka rękę myje," sprzedających wszystkie urzędy i stanowiska komunalne, bądź za brzęczącą monetę i papierek, wydający dyskretny szelest, bądź też za inne wyświadczane przysługi. Zgodnie z tem rozklasyfikowano wszystkich kandydatów i aspirantów podług logicznej triady „na gorąco poleconych" „poleconych" „samotników," pozbawionych wszelkiej protekcyi, nie wiadomo zatem, z jakiej racyi starających się o posadę. Oczywiście policya np. mogła składać się z ludzi zasługujących na nieograniczone zaufanie i wskutek tego rekrutowała się tylko z „gorąco poleconych." Liczyła pomimo to 80 karanych poprzednio złodziei i zbrodniarzy. Stróże porządku sprawiali tak gorszące wrażenie i przytem w tak dość dziwny sposób strzegli bezpieczeństwa, iż 1897 r. zarząd miejski był zmuszony rozpuścić policyę, poczem powołano komisyę sanitarną i obyczajową, która miała zrewidować zdrowotność strażników i zbadać ich przeszłość. Komisye odkryły, iż cały personel, bez wyjątku, nie pozostawia nic do życzenia. Wprawdzie okazało się przytem kilka sfałszowanych świadectw, ale od czegóż są deputowani radcy miejscy, przedewszystkiem Scrafoglio z całą sforą dziennikarską. Taki jegomość daje ofierze złych języków ludzkich swą kartę wizytową z przypiskiem „persona mia" i cała sprawa załatwiona.

W ten sposób społeczeństwo neapolitańskie rozpadło się, jak w starożytnym Rzymie, na trzy klasy: patronów, klientów i ludzi pozbawionych wszelkich praw obywatelskich. Patronowie popierają swych pupilków, ci zaś odwdzięczają się swym opiekunom w rozmaity sposób. Najważniejszym środkiem utrzymania, panującego stanu rzeczy, były wybory. Aby nie dopuścić do steru rządów komunalnych wichrzycieli, łaknących przewrotu, konserwatywna klika zapisywała do liczby wyborczej złodziei, oszustów, bankrutów, fałszerzy, morderców i... nieboszczyków. Gdy znany przedsiebiorca, Russo, zażądał wpisania do listy wyborczej nieboszczyka, na którego grobie wygłosił wielką wstrząsającą mowę, a odnośny urzędnik odmówił spełnienia prośby obywatela, otrzymał on natychmiast dymisyę za swe niedbalstwo. Drugim wałem, broniącym gród od przewrotowców, była prasa, a na czele walecznej załogi stał Scrafoglio, który przed kilkunastu laty przybył do Neapolu w towarzystwie swej małżonki, Matyldy Serao, jako nędzny pismak, a dziś jest posiadaczem własnego yachtu. Nie dziwnego! Wszystkie przedsiebiorstwa przechodziły przez ręce redaktora *Mattino*, wszelkie koncesye wymagały jego zezwolenia, a pożyczki i przedsiebiorstwa mogły być dokonane za jego zgodą. Wraz z miejscowym burmistrzem i deputowanym utworzył on w celach zaborczo-obronnych tryumwirat, którego duszą była... pani Serao. Pomiędzy jednym wielkim obrazem a drugim trudniła się pośrednictwem w odnośnych operacyach, a im większa prowizya przypadała w udziale jej mężowi, tem donośniejszym głosem śpiewała hymny na cześć wielkich charakterów lub tem silniej drgały struny jej duszy chromatyczną gamą oburzenia na wzmiankę o nikczemności i słabości natury ludzkiej. Dzięki swojej prawdziwie artystycznej fantazyi, tworzyła ona fikcyjne towarzystwa akcyjne, które zagarniały miliony, pomimo, iż składały się z jednego członka, pana Scrafoglio i jednej uczestniczki, pani Serao. Najzyskowniejszym okazał się projekt uzdrowotnienia dwu dzielnic ludowych, służących za gniazdo nieopisanej nędzy. Kosztem kilkuset milionów, na które złożyło się między innemi również państwo, miano zburzyć owe dzielnice i wznieść dwanaście nowych kwartałów. Scrafoglio nazwał przedsiebierstwo epokowym pomnikiem hygieny społecznej i wzruszającej opieki nad maluczkimi. Całą rzecz wykonano przy pomocy fikcyjnych towarzystw akcyjnych, które sprzedawały grunty, skupywały je i podejmowały się robót odpowiednich. Rabowano ile się dało, zbudowano domy z tektury ale za to w tym właśnie czasie padania złotego deszczu i dzięki tej spekulacyi, pani Serao ogłosiła swe najcudowniejsze powieści, które czytuje z głęboką wdzięcznością biedny i głodny lud neapolitański, pomimo, iż autorka naigrawa się okrutnie z jego łatwowierności. Ankieta, sporządzona przez senatora Saredo, jest dokumentem zaiste wiecznym.

Sprawa musiała się oprzeć o parlament. Słynny dowódca krańcowej lewicy, prof. Enrico Ferri, słusznie wyraził się, iż podobnie jak złodziejstwo stanowi oazę na północy, tak uczciwość na południu Włoch. Ale słynny kryminolog, „wróg ludu," zapomniał, iż nie należy nazywać wszystkiego po imieniu. Zaledwie zdanie powyższe wyszło z ust jego, gdy posłowie prowincyj południowych rzucili się nań aby stratować bluźniercę za to, że odważył się urągać honorowi narodowemu. Prezydentowi udało się dopiero uspokoić parlament gdy zaproponował wykluczyć na pięć dni z posiedzeń nieprzyzwoitego śmiałka. Nazajutrz Ferriego nie wpuszczono do sali posiedzeń. Towarzysze partyjni postawili wniosek, aby pozwolono banicie wytłomaczyć się. Parlament jednak odrzucił ten wniosek. W chwili gdy prezydent z miejsca ogłosił powtórny wyrok, potępiający Ferriego, zaszła nieznana w dziejach żadnego parlamentu scena. Rozległ się brzęk i przez otwór wybitej we drzwiach szyby wsunęła się Mefistofelesowska głowa wygnańca, który krzyknął na cały głos: „Niechaj żyje Kamorra!" (Eviva la Camorra).

Epilog tragikomedyi: Pani Serao ogłosiła we wszystkich większych pismach europejskich list, między innemi zapowiadający wypracowywaną obecnie przez jej męża obronę, wobec której mowy Cicerona przeciwko Katylinie są niczem. Prof. Ferri przybył do Neapolu, gdzie go lud przywitał kamieniami. Musiał ratować się ucieczką pod ochroną policyi.

Przedm.

JARMARK NA OBRAZY.

Wiedeń, w styczniu.

Magazyny nowości wydają katalogi. Fabryki maszyn, mebli, broni, wydają cenniki ilustrowane. To jest w porządku rzeczy; to wynika z dobrej organizacyi handlu i reklamy, jest objawem stosowania się do gustów i potrzeb kupującej publiczności, należnem jej i pożytecznem ułatwieniem. Kierowany tymi względami, pan X, przedsiebiorca na wielką skalę i „modern," uznał za stosowne wydać i przysłać mi- ilustrowany cennik czy-

li katalog „nowości sztuki malowania olejnego“ (dosłownie tłomaczą: Oelgemäldekunst Novitäten).

Tylko proszę nie myśleć, że to są dajmy na to, desenie malowideł na ściany, takie dziurkowane blaszki, co to zręczny czeladnik przykłada jedną ręką do ściany, a drugą świchta pędzlem, poczem, blaszkę odjąwszy, dumnie się przygląda swemu dziełu. Widziałem to w dzieciństwie — teraz papierowe tapety coraz bardziej tę „sztukę“ wypierają... Nie: pan X. zapewnia uroczyście w przedmowie, że pomieszczone w cenniku produkty są to sztuka w sztukę „malowidła ręczne malarzy-akademików.“ Przerzucam odbitki—*ma foi*! wcale niezłe w porównaniu do naszych pism ilustrowanych. Przeważnie krajobrazy, ale także sceny rodzajowe, obrazy religijne; zresztą, pan przedsiebiorca uprzedza ze znajomością rzeczy, doprawdy wzruszającą, że „wobec różnorodności motywów do obrazów olejnych, niemożliwem było w katalogu niniejszym odbić wszystkie gatunki, które posiadam w interesie“ (die ich füre). Dlaczego mówi tylko o olejnych?—doprawdy nie wiem; może ma kontrakt z jaką fabryką farb olejnych?.. Dość, że „stoją“ w cenniku obrazy, jeden za drugim, jak okrywki damskie, lub sztuki bielizny w sezonowym cenniku paryskiego Luwru czy Bon-Marché! Pod każdym numer katalogowy, tytuł, wielkość: tyle i tyle centymetrów wysokości, szerokości i cena. Cena — bajeczna! Razem z ramami (oczywiście także odrysowanemi), zaczyna się od 7½ złr. Proszę pomyśleć - szwajcarski pejzaż, 74 na 88 ctm., z bydełkiem, przez „akademika“ *ręcznie* malowany, „mogący trwać całe stulecia bez zepsucia się“—za 7½ złr! Można też mieć odrazu odpowiednie *pendant*...

Nie wytrzymałem; poszedłem obejrzeć skład pana X., przy jednej z głównych ulic, idących promieniami od Ringstrasse. Pełny towaru; widać interes dobrze idzie. Pokazywał mi, naturalnie, i droższe; nawet „oryginały“; najdroższe jednak kosztują 150 złr.- to już bardzo duże. Przecie cena zależy od wielkości. Wszystkie—oryginały i kopie—podpisane, jak się należy. Nazwiska, oczywiście, niezbyt znane; ale nie można wątpić, że są to istotnie studenci szkoły sztuk pięknych, młodzi malarze, którzy może jeszcze kłaniają się nizko handlarzowi po otrzymaniu kilku guldenów za każdą kopię, bo sam przecie zarobić musi ze 25%, a gdzie ramy, komorne, kasyerka? Za ten grosz muszą dziesiątki razy jedno i to samo kopiować - gładko, ładnie, czysto, miło, bo przecież jest na to katalog wydany, aby każdy amator mógł sobie podług niego zamówić egzemplarz takiego a takiego „kawałka.“ No, zapewne—mówił do mnie z odcieniem pobłażania pan kupiec — nie zawsze tam kopia ściśle podobna jest do wzorku; rozumiesz pan, artyście zawsze się chce choć jakiś mały szczegół zmienić. Tak spływa młodość talentu, a z nią popęd twórczy, świeżość odczucia...

Co tam! Za to jakimi stosami listów, wyrażających uznanie, pochwalić się może dowcipny i poważny przedsiebiorca! Pewien oberlejtenant z Jarosławia w Galicyi, dodający do swego podpisu tytuł: „posiadacz wielkoksiążęcego toskańskiego medalu zasługi za *sztukę, naukę i literaturę*“ (sic.) oświadcza nawet w najwyższym zachwycie: „Każdy niewtajemniczony ocenia nadesłane obrazy dziesięć razy drożej niż kosztują!“ Przynajmniej dobrze kupił... Ale co tam oberlejtenant z jego medalem toskańskim! Jest list od feldmarszałka z Węgier, który dziękuje za nadesłany „obraz Nr. 69“ i obiecuje „firmę wszędzie polecać...“ Wogóle, zastęp czcigodnych odbiorców składa się przeważnie z oficerów, księży świeckich i zakonnych płci obojej, oraz szlachty wiejskiej, głównie galicyjskiej i węgierskiej. Jest i paru profesorów (czego? nie wiem)—a przynajmniej ich żon, ponieważ, jak powiedział Bachofen, kobieta posiada przyrodzoną zdolność estetycznego urządzania mieszkań.

I niech im za to będą dzięki! Bo przynajmniej żaden „Pegaz,“ pod grozą śmiertelnego obrażenia feldmarszałków, proboszczów i „urodzonych przywódców narodu“ nie będzie mógł powiedzieć, że ten bezwstydny jarmark — to rezultat czy objaw „sztuki demokratycznej.“ Gdy bowiem filistrzy z warstw „wyższych“ w ten sposób, nie myśląc o marnowaniu się prawdziwych sił twórczych, kupują sobie fałszowaną uciechę artystyczną, tak jak piją podrabiane wino i noszą fałszywe klejnoty, byle tylko zachować pozory zewnętrzne, „odpowiadające ich stanowi,“ tymczasem wysiłki w kierunku prawdziwej demokratyzacyi sztuki idą zupełnie innym torem — przedewszystkiem życia zbiorowego: w Paryżu np. Geffroy usiłuje uzyskać „muzea wieczorne,“ w którychby prawdziwe dzieła sztuki dostępne były dla ludzi pracy; inni starają się o ozdobienie ulic i placów, wreszcie — wszędzie widać zarodki dążeń do zużytkowania samorodnych popędów twórczych ludu i do dalszego budzenia ich przez zespolenie artyzmu ze wszystkiemi okolicznościami pracy samej i życia codziennego. *zz.*

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Obieżysasi.

„Robotników z Galicyi i Królestwa Polskiego, mężczyzn, dziewki i parobków, dostarczamy w każdej liczbie, począwszy od dnia 1 lutego 1902 r., dla robót rolnych, leśnych i cegielnianych. Cena dostawy *loco* stacya graniczna 10 marek. Ceny zniżone (stosownie do pory roku: mężczyźni 0,80—1,10 m., dziewki i parobki 0,65—0,90 m., deputat 0,35—0,40 m. dziennie. Sześć tygodni gwarancyi przeciw niedotrzymaniu kontraktu. Biuro stręczeń izby rolniczej we Wrocławiu.“

Tak brzmi w tłomaczeniu dosłownem ogłoszenie, umieszczone w pismach niemieckich rolniczych. Sądzimy, że warto wyryć je na tablicy miedzianej i umieścić na wieczną pamiątkę w muzeum, aby te *document humaine* nie zginęło dla historyka przyszłości.

„W każdej liczbie“ dostarcza szanowne biuro stręczeń towaru ludzkiego panom agrarczykom, a „cena dostawy“ wynosi 10 marek od głowy!

„Ceny zniżone.“ Zapewne. W przemyśle zastój, fabryki łódzkie, kopalnie dąbrowskie, huty sosnowickie i ostrowskie wyrzuciły tysiące zbytecznych rąk roboczych; w ziemiach polskich nieurodzaj — więc mięso polskie staniało. I jakże przerażająco jest tanie: 80—110 fenigów dziennie dorosłemu robotnikowi za ciężką pracę! A prawda, jest i „deputat“: 35 -40 fenigów dziennie na utrzymanie człowieka. Toż utrzymanie psa kosztuje drożej!

Dzieje się to w roku pańskim 1902. W gazetach wre walka słowiańsko-germańska; zdawałoby się, że ludzie pożerają się wzajemnie. Farsa! Tu, na gruncie realnym, odbywa się, jak odbywał się dawniej, targ — na pot ludzki i krew. „W każdej liczbie“ hakatysta z okolic Wrocławia może mieć na usługi mężczyzn, parobków i dziewki—po 10 marek za sztukę. I będzie ich miał, kupi sobie tych „wrogów niemczyzny.“ Powędrują Maćki i Magdy z nad Wisły, Warty i Bugu hen do Wrocławia i za Wrocław, „na Saksy,“ nad Ren. Potem swym użyźnią glebę, przy dźwiękach polskiej piosenki będą żąć zboże na glebie niemieckiej... Pójdą, bo niema innej rady! I będzie niemiecki dziedzic lub ekonom wymyślał im od „polnische Schweine,“ ale niemiecka renta gruntowa wzrośnie na polskim pocie. Pójdą, a gazeciarz warszawski zostanie i będzie rozpisywał się o bojkocie towarów niemieckich, skrzypiąc stalówką niemieckiego wyrobu. Farsa!

„Sześć tygodni gwarancyi przeciw niedotrzymaniu kontraktu.“ To jest: izba rolnicza we Wrocławiu gwarantuje, że Maćki i Magdy najmniej sześć tygodni będą siedzieli na miejscu, nie uciekną. Lecz kto gwarantuje, że kontrakt będzie dotrzymany rzetelnie Maćkom i Magdom? Idą, na łaskę i niełaskę — bo muszą.

Oto przyczynek do tematu: „Wy albo my.“ Prosimy gorliwych obywateli zająć się nim. Tylko niech pamiętają, że tu środeczki w rodzaju protegowania fortepianów p. Kerntopfa z Warszawy zamiast Blüthnera z Berlina, nie pomogą. „Wy, albo my,“ to znaczy w danym razie: Jeżeli nie stworzymy warunków społecznych, przy których Maćki i Magdy nie będą zmuszeni sprzedawać krwawicy swojej za 80 fenigów dziennie, uważając to jeszcze dla siebie za dobry interes, w takim razie — my złożyć musimy broń. *Dr. J. B. M.*

Szkoła sztuk pięknych.

W tych dniach władza wyższa zatwierdziła, z pewnemi zmianami, ustawę wyższej szkoły sztuk pięknych w Królestwie Polskiem. Oto jest zasadnicza treść programu nowego zakładu: Będzie on miał na celu kształcenie artystów: malarzy, rzeźbiarzy i rysowników dla potrzeb artystycznych i dzieł artystyczno-przemysłowych, tudzież wogóle współdziałanie w rozwoju artystycznym śród ludności miejscowej. Wykłady artystyczne dzielą się na klasy ogólne i specyalne. W klasach ogólnych wykładane będą: *a*) rysunek, malowanie i rzeźba z natury i *b*) kompozycya. Klasy ogólne podlegają kolejnemu kierunkowi profesorów szkoły. Z postanowienia rady pedagogicznej uczeń przechodzi z klas ogólnych do specyalnych artystycznych, albo artystyczno-przemysłowych pracowni artystów kierowników, wedle własnego wyboru i za zgodą profesora wybranego. Przy szkole może być otwarta szkoła przygotowawcza, jak również klasy niedzielno-rysunkowe. Do kursu nieobowiązkowego zaliczono anatomię i perspektywę. Szkoła urządza dla wychowańców konkursy z nagrodami pieniężnemi, będzie miała bibliotekę specyalną i muzeum pomocnicze, urządzać będzie wystawy publiczne prac uczniów swoich. Do szkoły przyjmowane są osoby płci obojej, bez różnicy pochodzenia, wieku, wyznania i przygotowania naukowego. Wszyscy wstępują do klas ogólnych w celu poddania się egzaminowi, trwającemu najkrócej miesiąc. Po upływie tego terminu mogą być albo przyjmowani do klas przygotowawczych i specyalnych, albo pozostawiani w ogólnych. Opłata za naukę ma być wnoszona z góry, półrocznie lub kwartalnie, w wysokości ustanowionej przez radę pedagogiczną, od której zależy także uwolnienie całkowite od opłaty, z warunkiem, ażeby liczba uczniów, korzystających z tej ulgi, nie przewyższała 20% ogółu. Uczniowie, którzy przebyli w klasach ogólnych pięć lat i nie byli promowani do specyalnych, są uwalniani. Świadectwa z ukończenia szkoły wydawane będą na zasadzie prac wykonanych przez uczniów i uznanych przez radę pedagogiczną za zadawalające. Założycielami szkoły są pp.: Adam hr. Krasiński, Maurycy hr. Zamojski, Stanisław Rotwand, dr. Teodor Dunin, Mathias Berson i Lucyan Wrotnowski.

Towarzystwo opieki nad nerwowymi i umysłowo chorymi.

Towarzystwo to ogłosiło rezultaty działalności swej z roku ubiegłego. Pierwszym punktem programu było dążenie do wytworzenia własnego schroniska dla spokojnych umysłowo chorych. Przytułkowi dla dzieci żołnierskich w Drewnicy uczyniono propozycyę nabycia jego zabudowań za 15,000 rb., płatnych ratami w ciągu 15 lat z 4% od niezapłaconej sumy i z prawem spłacenia przed oznaczonym terminem. We wrześniu roku ubiegłego otrzymano przychylną decyzyę władz. Trudniej znacznie poszło z zebraniem środków na budowę schroniska. Członków posiada Towarzystwo zaledwie 260; o wytworzeniu więc funduszu ze składek członkowskich nie mogło być nawet mowy. Natomiast posiadało Towarzystwo papiery państwowe wartości 2,500 rb. W listopadzie z r. z. ministeryum spraw wewnętrznych wyasygnowało na sprawy schroniska 5,000 rb. razem 7,500 rb. W najbliższym czasie projektowana jest budowa schroniska na 20 pensyonarzy, gdyż na tyle tylko starczy dotychczasowych funduszów. Plany jednak Towarzystwa zakreślone są szerzej, gdyż zabudowania w Drewnicy po dokonaniu potrzebnych przeróbek będą mogły pomieścić co najwyżej 100 chorych. Drugą sprawą wielkiej wagi, którą zajmowano się w roku ubiegłym — były t. zw. *patronages familiers*. Jak wiadomo, za granicą (we Francyi) spokojni obłąkani oddawani są pod opiekę włościanom, którzy dają im mieszkanie, pożywienie i odzież. Obłąkani zajmują się pracą w polu lub w chatach. Praca jest tutaj doniosłym czynnikiem leczniczym. W kwestyi tej ułożono już wyczerpujący regulamin. Poruszano także sprawę palącą założenia kolonii dla epileptyków, którzy, wałęsając się po mieście, mogą w pewnych chwilach stać się wprost niebezpieczni dla otoczenia. Wypracowano projekt urządzenia sanatoryum dla biednych nerwowo-chorych, wychodząc z założenia, że cierpienia nerwowe, dziesiątkujące ludność, są klęską równie straszną jak gruźlica. Ze sprawą tą związany jest ściśle dar p. Piotrowskiego, który w Karolinie ofiaruje kolonię z 20-morgowej przestrzeni z warunkiem zbudowania na niej w przeciągu dwu lat szpitala dla nerwowo i umysłowo chorych. Najgorliwsze jednak zabiegi Towarzystwa rozbijają się o brak poparcia ze strony ogółu. Dość powiedzieć, że Towarzystwo posiada zaledwie 260 członków. Ten sam ogół, który zaalarmowany głosami lekarzy zdobył się na zebranie sumy na sanatoryum dla suchotników, względem obłąkanych, wałęsających się po ulicach i będących pośmiewiskiem gawiedzi, wykazuje niewytłomaczoną obojętność. Rzeczą jest Towarzystwa i prasy budzenie świadomości jak ważną jest ta sprawa. *w. s.*

U miłośników sceny.

Miłośnicy sztuki dramatycznej wystąpili ostatniej niedzieli z nową premierą. Tym razem wybór padł na komedyę, tłomaczoną z francuskiego p. t. „Synowa,“ pp. Carré i Bilhaud. Niestety, nie można powiedzieć ,aby był szczęśliwy. „Synowa“ tem różni się od szablonu komedyj francuskich, iż osią intrygi nie jest zdrada małżonka. Pomimo tego pomysł to nie wczorajszy i nie onegdajszy nawet. Świekra prześladuje synową, która nie jest bierną ofiarą, lecz także pokazuje pazurki, wywodzi w pole, upakarza i zawstydza swą nieprzyjaciołkę, wreszcie i uwalnia się od niej raz na zawsze. Komedya zbudowana jest niedość prawidłowo: wdrożenie trwa zbyt długo, a rozwiązanie odbywa się po za sceną; dużo tu wszakże humoru i ruchu scenicznego, co zjednać może sztuce powodzenie. Amatorowie wywiązali się starannie ze swego zadania; wyróżniły się zwłaszcza panie Lutomska i Włodarska, oraz panowie Bukaty, Hoffman i Marko. Należałoby tylko oczyścić przekład z ohydnych błędów językowych, w rodzaju: „ta kryzys,“ „daj mi pić“ (zam. „daj mi się czego napić“), „synowę“ (zam. „synową“) itp. *H. G.*

Syndykat papierników

Już od paru lat właściciele fabryk papieru u nas dążą stale do zmowy zorganizowanej. W r. 1900 podnieśli dwukrotnie ceny papieru ogółem o 15%, obecnie zaś wszyscy właściciele papierni, u nas i w Cesarstwie, z wyłączeniem Finlandyi, postanowili podnieść ceny o 20%. Jako motyw, podają podrożenie materyałów surowych i wogóle wszelkich środków produkcyi. Dość jednak zajrzeć do dziejów naszego przemysłu, ażeby powziąć to przekonanie, że syndykat papierników nie wynika z gwałtownej potrzeby ratunku, lecz jest tylko najprostszym zorganizowanym wyzyskiem ogółu spożywców. W ciągu niespełna lat 40-tu wartość produkcyi papieru w Królestwie Polskiem wzrosła *siedemnaście razy*, ilość zakładów z dziedziny przemysłu papierniczego w tym samym okresie (1858 — 1895) wzrosła 2½ razy, a liczba robotników sześć razy (z 1123 do 6927). Dane te wymownie świadczą, że przemysł papierniczy stale rozwija się i wzrasta, a skoro tak jest,—może rozporządzać środkami, ułatwiającymi zniżenie kosztów produkcyi. Tymczasem dzieje się odwrotnie. Fabrykanci nasi wytwarzają lichy papier, zupełnie lekceważą wymagania spożywców. Cóż będzie, gdy przeciwko nim wystąpią w formie silnie zsolidaryzowanego syndykatu? Tandeta lichych wyrobów rozwinie się jeszcze bardziej. Wobec tego pożądane byłoby ze strony licznych kół spożywców zabiegi o zniesienie cła od papieru zagranicznego. W ten sposób można walczyć skutecznie z zorganizowanym wyzyskiem. *p.*

BADANIA NAUKOWE.

Stosunek jednostki do społeczeństwa
I TECHNIKI DO GOSPODARSTWA NARODOWEGO.

III.

Więc pozostaje nam tylko jedna jeszcze droga, mająca nas z tego błędnego koła wyprowadzić: spytać się, jaką mamy teoretyczną pewność danego w świadomości naszej ujęcia zjawisk społecznych, jako zjawisk objektywnych, stojących po za nami?

I oto taka analiza teoretyczno-poznawcza wykazuje nam, że wszelkie zjawiska świata zewnętrznego ujmujemy w formie czasu i przestrzeni w przeciwieństwie do zjawisk duchowych, które ujmujemy w formie czasu i intensywności. Teoretyczna zaś pewność objektywnego istnienia tych pierwszych w przestrzeni, po za nami i niezależnie od naszej świadomości, polega nie na czem innem, jeno na tem, że przestrzeń jest *a priori* daną nam, a więc niezbędną dla nas formą ujęcia, oraz że podział zjawisk doświadczenia naszego na świat zewnętrzny i wewnętrzny jest również *a priori*, tak iż ujmując jedne z nich w formach czasu i przestrzeni, niezbędnie ujmujemy je w przeciwieństwie do zjawisk ujmowanych w formie czasu i intensywności, w przeciwieństwie do zjawisk subjektywnych, zatem — jako zjawiska objektywne. Zjawiska społeczne ujmujemy natomiast, jak i wszelkie inne duchowe, w formach czasu i intensywności. Nie mamy przestrzennego wyobrażenia wartości, dochodu, prawa, religii, arystokratycznego lub demokratycznego ustroju państwa.

Skądże więc bierze się przyznanie im objektywnej wartości, objektywnego istnienia niezależnie od świadomości naszej? W jaki sposób możemy ujmować stany naszej świadomości w przeciwieństwie do nas, jako poznającego podmiotu?

Otóż stąd, że możemy myśleć o sobie w dwóch ważnych formach, że obok świadomości samego siebie posiadamy jeszcze świadomość przynależności swej do pewnej grupy społecznej, do pewnego zbiorowiska identycznych z nami jednostek. Myślimy o sobie nietylko w formie „ja,“ lecz i w formie „my.“ Ale jeśli możemy o sobie w dwóch ważnych formach myśleć, to myśląc o sobie w jednej z nich, w formie więc „my“ tem samem ujmujemy odnośne stany świadomości naszej w przeciwieństwie do związanych podmiotem „ja.“ Przypisujemy im zatem istnienie objektywne, pomimo iż ujmujemy je w formach czasu i intensywności. Są one bowiem objektywne nie w tem znaczeniu, by stały w przeciwieństwie do nas, jako poznającego je podmiotu, lecz że przeciwstawiamy je, jako stany powszechnej świadomości naszym indywidualnym stanom świadomości. Widząc drzewo itd.

Oczywiście jednak nie dochodzimy do przeświadczenia o powszechnej ważności odnośnych ujęć drogą doświadczenia. Wręcz przeciwnie, przeświadczenie to stanowi przecież cechę charakterystyczną, na zasadzie której wydzielamy je z reszty naszych stanów świadomości, przypisujemy im istnienie objektywne. Jest więc ono *a priori*.

A priori są jednak tylko formy naszej świadomości. Zjawiska społeczne są więc formami naszych stanów świadomości. Tu wszakże należy zauważyć, że zjawiska społeczne są to stosunki między ludźmi, znaczna zaś część naszych stanów świadomości za przedmiot swój ma już to nasze indywiduum, już to rzeczy świata zewnętrznego, lecz nie stosunki nasze do innych ludzi. Więc stosunki społeczne są to formy tych naszych stanów świadomości, których przedmiotem jest stosunek nasz do innych ludzi.

Ale w takim razie nie wypływają one niezbędnie z budowy ducha naszego, nie są *a priori* w tem znaczeniu, co formy czasu i przestrzeni. Jakim więc sposobem są one powszechnie obowiązujące, w jakiem znaczeniu są one *a priori*.

Przyczynowo zrozumieć się to nie da. Indywiduum, jako takie, posiada bezpośrednią świadomość tego tylko, że jego stany świadomości są jego stanami świadomości i nie mamy żadnego zgoła prawa logicznego, któreby nas zmuszało do uznania ich *a priori*, przed wszelkiem doświadczalnem przekonaniem się o tem, że są one identyczne dla wszystkich. Więc niemożliwem jest bezpośrednie przejście od indywiduum do społeczeństwa.

Gdy wszakże zjawiska społeczne są formami naszych wzajemnych stosunków duchowych, to oczywiście stosunek jednych zjawisk społecznych do drugich w żadnym już razie nie może być stosunkiem treści do formy.

Zjawiska ekonomiczne są również, jak i wszelkie inne społeczne, formami naszych stosunków duchowych, nie ich treścią. Z ogółu zjawisk społecznych wyróżniają się one tem tylko, że służą specyalnemu celowi, mianowicie zaspokojeniu potrzeb materyalnych. Można je zatem określić, w przeciwieństwie do innych zjawisk społecznych, jedynie jako te ze społecznych form duchowych współżycia ludzi i grup ludzkich, które normują wzajemne stosunki jednostek, powstające na tle ich dążenia ku zaspokojeniu ich potrzeb materyalnych. A gdy przytem weźmiemy pod uwagę, że nie-

ma żadnych konkretnych czynności naszych, na których zasadzie wstępowalibyśmy w jeden tylko jakiś określony stosunek społeczny z naszem otoczeniem, lecz że, przeciwnie, kupując np. ubranie dla dziecka, człowiek jednocześnie bierze udział w całym szeregu najprzeróżniejszych funkcyj społecznych: pieczy o rodzinę, wymiany, opłaty podatku, i stwierdza cały szereg instytucyj społecznych, już to państwowych, gdyż płaci ustanowioną monetą, już to etycznych, gdyż w razie wydania mu za wiele z banknotu, którym płaci, zwraca na to uwagę kupca; gdy więc uwzględnimy, że poszczególne stosunki społeczne są ujęciem zazwyczaj jednej i tej samej treści z różnych tylko punktów widzenia różnorodnych potrzeb współżycia społecznego—to wystąpi nam z całą jasnością bezpodstawność twierdzenia, by jedne ze zjawisk społecznych mogły być treścią innych. Bo jeśliby zjawiska narodowo-gospodarcze były treścią zjawisk prawnych, moralnych itd., to w takim razie pewna forma naszych stosunków wzajemnych byłaby treścią form innych, na zasadzie tych samych konkretnych naszych czynności zjawiających się stosunków — przypuszczenie wprost umysłowi naszemu niepojęte.

Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Gustaw Daniłowski: *Z minionych dni*, powieść.

Będąc redaktorem, w ciągu 20 lat odczytałem dziesiątki tysięcy nadesłanych rękopisów. Była to praca ciężka, żmudna, wyczerpująca mózg bezpłodnym trudem; odwalałem ją jednak wytrwale, pobudzany ciągle nadzieją znalezienia i wydobycia śród tej masy piasku bryłek złota. Udawało mi się to nieraz, a czytelnicy *Prawdy* wiedzą, że przez nią wstąpiło do literatury dość liczne grono pięknych talentów. Chodziło mi zaś w tem poszukiwaniu nietyle o pozyskanie nowych współpracowników dla naszego wydawnictwa, ile o wczesne dostrzeżenie i życzliwe poparcie nowych sił dla naszej literatury. Gdzie te siły się zwrócą i zużytkują, było to już dla mnie sprawą podrzędną; główną — ich objawienie się. I wierzcie, że każdy wierszyk, każda powiastka lub artykuł publicystyczny, w których błyszczał nawet nieoszlifowany klejnot, sprawiały mi jedną z największych radości, jakich doznawałem w zawodzie redaktorskim. Pragnąłem wówczas uderzyć w jakiś donośny dzwon dla ogłoszenia światu dobrej nowiny.

W szerokim przypływie nadsyłanych rękopisów znalazł się pewnego dnia wiersz studenta instytutu technologicznego w Charkowie, Gustawa Daniłowskiego. Nie wiem, czy utwór ten był pierwociną, ale autor jego był nieznanym. Talent, jak kwiat, przechodzi również przez stan pączkowania, wszakże i w tej postaci rozpoznać można już przyszłe bogactwo jego barw, układ i wielkość. Daniłowski zapowiedział się odrazu niezwykłą oryginalnością. Gościnnie przyjęty w *Prawdzie*, przeszedł następnie do innych czasopism, a każda niemal jego praca była nowym promieniem coraz świetniejszej i coraz wyżej posuwającej się gwiazdy. Śledziłem jej bieg z wielką uwagą, zadowoleniem i wiarą, że ona rozpali się na niebie literatury wspaniałem światłem. Tak się stało.

Bo oto Daniłowski po pięknym poemacie „Na wyspie“ dał nam jeszcze piękniejszą powieść „Z minionych dni.“ Tak często i tak lekkomyślnie przyznajemy najwyższe tytuły artystyczne robotom, których znaczenie sięga niedaleko po za granice chwalby przyjacielskiej, że lękam się oznaczyć wartość tej pracy słusznym, ale nadużytym wyrazem. Należy ona do tych wyborowych utworów, których literatura nie przechowuje w ogólnej skrzyni magazynowej, lecz w osobnym skarbcu. I gdybyśmy, jak w galeryi florenckiej, urządzili „trybunę,“ małą salę, gdzie zebrane są dzieła najlepsze, tam, obok nowel Konopnickiej, „W matni“ Sieroszewskiego, „Ludzi bezdomnych“ Żeromskiego, umieścilibyśmy „Z minionych dni.“

Co znaczy na okładce ten tytuł? W obrazie Daniłowskiego mienią się odblaski nie „minionych“ dni, ale obecnych, może nawet przyszłych. Rzeczywiście, dwie odrębne przędze marzeń, które autor przedziwnie splótł w swych bohaterach, nie wysnuły się z uczuć społecznych równocześnie, a jedna z nich początkiem swym sięgnęła znacznie dalej, ale ona nie dobiegła jeszcze do końca i zwija się z drugą ciągle. I właśnie to związanie ich świadczy nietylko o mistrzostwie i oryginalności artysty, ale o głębokiem spojrzeniu myśliciela. Talenty małej miary, obserwatorowie powierzchowni wchodzą do życia, jak drwale do lasu, w którym widzą osobno stojące drzewa, mierzą ich grubość i wysokość, nie troszcząc się o ich wzajemny stosunek. Poeta lub filozof dostrzega w tem życiu, w tym lesie, podziemny związek splątanych korzeni i stykanie się gałęzi w koronach, naginanych ku sobie siłą przelatujących nad niemi wichrów. Te dusze, które czas jak paciorki nawlóczył na nić idei, w początku i w środku ubiegłego wieku, stanowiły — według zwyczajnych klasyfikatorów — jeden różaniec, a te, które nanizał przy końcu — drugi, niemający z tamtym nic wspólnego. I rzeczywiście, tak wyglądają typy procesów życia pozornie. Postański, stary, nieszczęśliwy rozbitek, który spieszy się sam i wszystkich pędzi do grobu, omotany poszarpanemi pasmami babiego lata marzeń dawno rozwianych, z sercem stoczonem przez robaki, lęgnące się zawsze w zwątpieniu, ten Postański, który, zdaje się, przyrósł do swego minionego i przeżegnanego czasu, czem on może się wiązać z młodym Wiktorem Gintowtem, marzycielem zapatrzonym w blaski przyszłości, czerpiącym natchnienia i pobudki do czynów z odmiennych, w teraźniejszości tryskających krynic idei? Są to ludzie tak różni, jak trumna i kołyska, jak widno cmentarne i rozkochany oblubieniec, jak puszczyk i słowik. A mimo to w rdzeniach swoich są tak podobni, jak gdyby wyciosani z jednego dębu, tylko pierwszy z odziemka, a drugi z wierzchołka, którego szczytową gałązkę stanowi kilkoletni jego synek. Na te same wysokie góry kozice wchodzą a orły wznoszą się; na tych samych również wyżynach pojmowania życia spotykają się uczeni i poeci. Jak badacz, tak również artysta umie różnorodne zjawiska spajać wspólnemi siłami; on także ma swój monizm, dostrzeżony przenikliwym wzrokiem intuicyi w zamęcie sprzecznych objawów. Daniłowski doskonale zrozumiał ten prąd elektryczny, który zależnie od przyrządu, nadającego kierunek i cel jego sile, tu świeci, a tam obraca koła maszyny. Nietylko zrozumiał, ale też ślicznie przedstawił. Obok Postańskiego, siedzącego w mrocznej, surowej zadumie nad brzegiem tego morza, w którem jego statek zatonął, obok Wiktora, który z inną busolą puszcza się w żaglowej łodzi na to morze i ginie rozbity o skały, widzimy żonę jego i synka, których stary żeglarz kocha, strzeże i do wiecznego snu jak czuły ojciec układa. Nie waha on się podać zbolałej kobiecie noża do przecięcia naderwanej rozpaczą nici życia, a gdy jej dziecko, szukając śladem ojca i matki kwiatu paproci, zapada się w bagnie podczas nocy świętojańskiej, ten niezgorzały w ogniach piorunów uczestnik, świadek i dziejopis strasznej tragedyi zamyka jej księgę czarną pieczęcią niemego smutku.

Znacie obraz Corregia *Io*? Pierwszem wejrzeniem widzimy w nim tylko rozkoszą wyprężone ciało kobiety, zawieszonej pod chmurą; dopiero wpatrzywszy się uważniej, dostrzegamy przeświecającą z obłoku głowę Jowisza, który na twarzy kapłanki składa namiętny pocałunek. Tak również namalowany jest obraz powieściowy Daniłowskiego. Tu także duch świata, owinięty chmurą, całuje nieszczęśliwą kapłankę, z której rodzi się plemię bohaterów: Postański, Wiktor, jego synek, pomimo swego dziecięctwa niemniejszy od poprzedników. To jest ideowa strona utworu. A jakże wspaniałą artystyczna! Niektóre sceny, oświetlone dziką jasnością błyskawic burzy, napełnione wyjącym jękiem jesiennych wiatrów, przesiąkłe wylanemi i zatamowanemi łzami, dają duszy czytelnika okropny smak niedoli i męczeństwa. Opisy zaś widoków natury, znakomicie splecione z losami ludzi, są tak odtworzone pięknie, barwnie i żywo, jak gdyby każdy z nich odcisnął się głęboko na wyobraźni poety.

Powieść Daniłowskiego jest nietylko klejnotem literatury, jest ona także dowodem — że siła twórcza naszej poezyi przesunęła się obecnie największem swojem natężeniem ku umysłom rozwiniętym w pełnem słońcu swobody duchowej, ku najmłodszym odroślom rodu Prometeuszowego.

A. Świętochowski.

LITERATURA FRANCUSKA.

Nowy Don Juan.

(Dokończenie).

Niezwykle misterne i skoordynowane objawy podobnej samowiedzy, znajdujemy w dalszym ciągu powieści, zatytułowanym „Le roman de l'ambition,“ gdzie uczucia „nowego Don Juana“ przybierają postać bardziej intelektualną niż zmysłową. Przeszedłszy przez wszelkie zachcianki i zmysłowe fantazye użycia, książę Baratine spotyka kobietę, której stanowisko w świecie, wybitny umysł i wyjątkowa piękność, budzą w nim głównie instykty dominatora i dają powód do miłości mózgowej, gdzie znajdują wyraz wszelkie jego ambicye, próżności i dążenia do władzy.

„Nowy Don Juan“ ujawnia tu wszystkie zasoby swego mocnego ducha: skłonność do ryzykownych przedsięwzięć, jasną świadomość swych pragnień, znajomość niepospolitą natury ludzkiej, wielką przenikliwość umysłu, siłę woli, obrotność, przewrotność, szyderstwo,—patos dumy i jego liryzm, wielki jej rozmach i stanowczość, zarówno jak i zdolność do wszelkich odcieni subtelności. Sposób, w jaki książę Baratine podbija księżnę Chamarande, z której chce zrobić narzędzie swych zamiarów ambitnych, zdumiewa niesłychaną finezyą, streszcza doskonale jednolitą świadomość i zdolność wysiłku istot absolutnych, niedających się niczem rozluźnić, sproszkować, niezdolnych do połowicznych objawów woli.

Ze szczytów powodzenia strąca księcia Baratine'a nagła śmierć tej, którą wybrał za narzędzie swych losów. Zewnętrznie wszystko się w życiu jego zmienia, fala szczęścia odpływa od niego, burzą się i obracają w niwecz plany działalności, marzenia o potędze materyalnej i „wpły-

wach na bieg spraw ludzkich; wewnątrz jednak pozostaje „nowy Don Juan“ niezłamany zawodem, niezdemoralizowany klęską. Owszem, indywidualność jego coraz bardziej się rozrasta, nowe czynniki wchodzą w grę, zwiększają jej bogactwo. Następuje okres najszczytniejszy w życiu uczuciowem „Don Juana,“ okres miłości prawdziwej, przeduchowionej, gdzie wszystkie władze jego ducha: wrażliwość, wyobraźnia, polot myśli, współdziałają w wytworzeniu potężnej i harmonijnej ekstazy uczuciowej. Ciekawa jest bardzo ta postać „nowego Don Juana,“ która go nam objawia, jako istotę skłonną do głębokich i czystych wzruszeń, równie wielką może być w swoich bezinteresownych uczuciach, jak i w zimnych wyrachowaniach i dążeniach ambitnych.

Tę fazę życia „nowego Don Juana,“ autor przedstawia świetnie w trzecim utworze „Les ruines de l'amour.“ Strawiony sceptycyzmem, przesycony użyciem zmysłowem, przezorny i niewzruszający się intelektualista, wyniosły zdobywca, spragniony wciąż nowych podbojów i niepamiętający strat poniesionych, — staje tu u kresu swoich marzeń i ideałów uczuciowych, urzeczywistnia najwyższą, ostateczną postać swego „ja“ kochającego, stapia w duszy swojej najszlachetniejsze pierwiastki miłości jedynej, tej, którą się wciąż przeczuwa, ku której rwie się wciąż psyche ludzka. Na miłość tę wydaje książę Baratine całą swą zdolność kochania, wyczerpuje całą treść lepszej swej istoty uczuciowej, poszukującej wieczyście ideału. Gdy więc przyjdzie klęska, gdy śmierć porwie mu istotę ukochaną, księga uczuć zamknie się dla niego na zawsze, otoczą go ruiny miłości, wśród których błądzić będzie, pełen wzruszającego, nieudanego bólu i niewysłowionej tęsknoty. Do jakiego stopnia przekształca się tu duch „nowego Don Juana,“ istoty bezwzględnej i hartownej, niech świadczą słowa, któremi żegna zmarłą ukochaną: „wolę w każdym razie wspomnienia od niepamięci. Gdyby mi dano do wypicia czarę wody letejskiej, rozbiłbym ją raczej, niżbym miał stracić jedną bodaj myśl swoją, poświęconą twojej pamięci.“

Kończąc historyę uczuciową swego Don Juana, autor stawia go oko w oko z gorszem widmem niż duch komandora, bo z widmem nędzy materyalnej. Następne ogniwa „Heptalogii“ pokażą nam „nowego Don Juana“ w walce z losem, zdobywającego świat i chwałę, autor bowiem, podobnie jak Byron, niesie pieśń swoją „miłości i sławie.“ Jego Don Juan“ nie jest zawodowym kochankiem, umiejącym tylko omdlewać z tęsknoty po stracie ideału, istotą jednostronną, upośledzoną erotyzmem, zdolną do wyjątkowych wysiłków, wyłącznie w zakresie uczuć miłosnych. Jest to człowiek zupełniejszy, ambicyami swojemi wychodzący daleko po za sferę życia uczuciowego, tylko tak ukształtowany, że w okresie urzeczywistnienia swych żądz i namiętności miłosnych, im tylko z żelazną konsekwencyą się oddaje, tłumiąc czasowo wszelkie inne. Podług autora losy podobnych istot tak się układają, że nie mogą one zdobywać jednocześnie sławy i miłości, że gdy są w posiadaniu jednego z tych dwóch ideałów ich życia, — drugi im się wymyka. Do zdobycia sławy, autor wciąż sposobi swego bohatera, w ciągu opowiadania. Pozwala go nam poznać ze strony jego aspiracyj umysłowych, politycznych i społecznych. Książę Baratine, jako indywidualność niezależna, nieznosząca instynktownie ograniczeń i więzów zewnętrznych, występuje wszędzie, jako wróg wszelkich postaci ucisku, wszystkich instytucyj i porządków społecznych, zniżających jednostkę ludzką.

Dusza jego żyje gorącym protestem przeciw temu, co pęta swobodę postanowień jednostki ludzkiej, w rzeczach dotyczących jej wewnętrznego życia, jego pragnień umysłowych i moralnych. W umyśle jego powstają plany walki—rozum opracowywa wciąż środki, które mają być użyte w tych zapasach o lepszą ludzkość, instynkt zaś dominatora, żądnego władzy nad innymi, wypełnia go rojeniem o tego rodzaju stanowisku, któreby pozwoliło mu stanowić o szczęśliwości mas, bez odwołania się do ich woli...

O tem wszystkiem będzie mowa w dalszym ciągu dzieła.

Jest to niewątpliwie doskonała fikcya, ale ją autor ułożył umiejętnie, z tych wszelkich pierwiastków, które wchodzą w treść życia współczesnego. Dzieło jego nie bawi się w rozsnuwanie biegu życia poszczególnych jednostek, nie zajmuje się ich prywatnemi sprawami, ale stara się zsyntetyzować dążności, pragnienia, idee i wysiłki, charakterystyczne dla naszej epoki, nurtujące masy istnień ludzkich. W postaciach jego zgęszcza się i niezwykłego natężenia nabiera to wszystko, co w mniejszej potędze, w mniejszej wyraźności rozpraszane jest w masie serc i mózgów współczesnych.

Twórczość imaginacyjna tak jest oddana obecnie drobiazgowym analizom i opisom spraw błahych, stosunków przemijających, oderwanych od całości istnienia ludzkiego, że ten wysiłek Barrière'a w celu odtworzenia jej życia i uchwycenia ducha, należy wyróżnić.

Wł. Jabłonowski.

LOSY SZTUKI.

Wielki talent Matejki zagościł na wystawie Zachęty. Jedna z najpotężniejszych kreacyj mistrza, „Grunwald,“ znajdowała się tam już dawno; obecnie przybyły jeszcze zbiory nieznanych zupełnie szkiców oraz dzieł młodocianych. Wielki „Grunwald“ zabito szczelnie zieloną zasłoną, albowiem brakło miejsca dla innych obrazów; zbiory umieszczono w sali bocznej, najciemniejszej. Ominięto doskonałą sposobność urządzenia chciażby czasowego muzeum wielkiego artysty w sali głównej, gdzie wspaniały, potężny zawsze „Grunwald,“ teraz właśnie, w otoczeniu genialnych szkiców i studyów znalazłby się w godnem siebie towarzystwie.

Ze zbioru studyów najciekawszymi są portrety rodziny i własne z epoki młodzieńczej i lat ostatnich. Portret rodziny malowany z pietyzmem Holbeinowskim, nie naśladowanym, lecz bardzo szczerym, bardzo młodzieńczym. Na całem tem malowidle rozlany jest spokój ogromny, niemal słodycz. Zupełnie odmienny jest portret własny z epoki ostatniej: żywiołowo potężny, straszny. Oczy tej wyidealizowanej, marząco pięknej głowy, jarzą się jakimś wewnętrznym, nienasyconym ogniem duszy roztęsknionej żałośnie. Nieustająca jakaś, wiekuista ekstaza rozświetla niedające się nigdy zapomnieć oblicze...

Są tam jeszcze drobne notaty ołówkowe, motywy do obrazów, pierwsze zawiązki kompozycyj, szkice aniołów z polichromii kościoła Maryackiego itp. A wszystko ogromnie szanowne, ogromnie święte tym artyzmem natchnionym, duszą własną a wielką, których w sztuce naszej tak mało.

Szkoda, że wystawa tak piękna, tak ważna, urządzona jest dorywczo i bez należytej powagi.

Lwią część sali głównej zajął Michał Wywiórski. Kilkadziesiąt krajobrazów malowanych z brawurą wytrawnego malarza, składa się na jej całość. Pejzaże Wywiórskiego są bardzo szczere, technika w nich śmiała, szeroka — rzutkość w zmienianiu motywów ogromna. Mamy tu je z Włoch, z morza, z wyspy Rugii, z kraju —świeżą zieloność wiosenną, błoto, słońce— wszystko, co może dać pejzaż; a przecież mimo talentu, szczerości, temperamentu — wszystko to zaprawione jakąś dziwną, niemiłą surowizną koloru, jakiemiś chropowatościami w ujęciu przedmiotu, jakimś brakiem tego „kochania,“ którego tak pełne są pejzaże Chełmońskiego.

Panem na sali mniejszej jest obecnie Wilhelm Kotarbiński. Produkcyjność tego talentu jest zdumiewająca. Niedawno oglądaliśmy jego wystawę, złożoną z samych kolosalnych obrazów, o treści kompozycyjnej, dziś mamy to samo, z odmianą najświeższych dat. Produkcyjność ta w wyraźny i bardzo ujemny sposób odbija się na jakości prac. Wystawione obecnie obrazy robią wrażenie pracy dorywczej, niemal przypadkowej. Wszystkie są malowane zupełnie jednakowo, dekoracyjnie, szeroko, bez modelacyi, bez żadnych uwzględnień subtelności tonu, późniejszych refleksyj, konsekwencyj najprostszych, wynikłych w czasie tworzenia i odtwarzania. Wszystkie ciała i twarze rysowane są niesłychanie brutalnie jednakowym tonem brunatnym; wszędzie łatwa, brawurowa gonitwa za ogromnym efektem i za sensacyą, popularyzującą się wygodnie. Tu aniołowie banalni z „laurek“ dziecinnych dźwigają w przestworzach urnę łez zebranych; tu na mogile samobójcy wykwita lilia i bryzga krwią, a w górze pali się błędny ognik—to wszystko rozjaśnia jeszcze inne, niewiadome światło; tam skrzydlata Meduza całuje nagiego, z okropnie traktowanem ciałem człowieka, przywiązanego do krzyża. Oto szereg kompozycyj Kotarbińskiego, pominąwszy ich dziwną dla nas dzisiaj w sztuce bombastyczność, ogromnie dorywczych i niemiłych w wykonaniu. Tkwią w nich niewątpliwie znamiona bardzo dodatnich pierwiastków talentu, lecz są wprost nielitościwie po tych wielkich płótnach roztarte, roztrwonione, niedbale zmarnowane.

Na dole, w sali bibliotecznej, gości Franciszek Żmurko. Dał jeden duży obraz p. t. „Laudeamus Feminam“ i kilkanaście studyów. Żmurko należy również do artystów formy, ale jakże odmiennie czci ją od Kotarbińskiego! Jest także szeroki, brawurowy i bujny, lubi również efekty. Ale jest w tem wszystkiem wykwintny, subtelny i bardzo estetyczny.

Jego obraz ostatni nie jest, jak zwykle, w treść zbyt bogaty: kilku młodzieńców wręcza berło królewskie przepysznie, jednym rzutem pędzla wymalowanej dziewicy, blondynce o typie silnie zmysłowym. Obraz cały jest jakby umyślnie objęty starą patyną rudawą, w tonie dociągniony doskonale i ogromnie efektowny — w znaczeniu rozkoszy wzrokowej. Reszty wystawy dopełnia kilkanaście studyów malowanych zręcznie i wykwintnie.

Salon Krywulta wystawił tryptyk Rochegrossa, wybitnego twórcy „Rycerza wśród kwiatów,“ „Święgotu ptaszął,“ „Pogoni za szczęściem“ i w. in., kolosalnych i bardzo popularnych obrazów. Tryptyk jest ilustracyą legendy o królu Salomonie i królowej Sabie. Jest to dzieło w całem znaczeniu malarskiego wyrażenia „majsterskie,“ czyli świadczące o wielkim zasobie sił, kultury i rutyny danego artysty. Obraz jest malowany świetnie, rysowany doskonale, wykończony do szaleństwa: typowe dzieło francuskie, drobiazgowe, żmudne, ogromnie finezyjne i pełne harmonii. Obraz w dzień z przyczyny niedostatecznego oświetlenia wiele traci, za to wieczorem przy lampach jest wprost olśniewający blaskiem, a urok pradawnego, mitycznego wschodu bije zeń wielką falą.

Dalszą część wystawy zajmują obrazy Samuela Hirszenberga. Jest tu moc studyów pejzażowych z Włoch — kompozycya „Sądny dzień“ i olbrzymi „Żyd wiecz-

ny tułacz.“ Pejzaże niektóre bardzo ładne i dobre, lecz tyle się już widziało tych malowanych Italij, tak do siebie podobnych! P. Hirszenberga stać przecie na to, żeby nam dał coś bezwzględnie swojego, jak bardzo dobry „Sądny dzień,“ lecz nie sztucznego jakoś bezsilnie i bezdźwięcznie, jak ów „Tułacz,“ ogromnie niesympatyczny, mimo rutyny i poprawności.

W dalszych salach Towarzystwo artystyczne urządziło „wystawę karykatur.“ Karykatura „artystyczna,“ polegająca na wielkiej subtelności motywu i wykonania, jest u nas zupełną nowością. Wyróżniają się ogromnie kolorowe, dowcipne pomysły Noskowskiego, trawestacye Ryszkiewicza i Górskiego, echa dawnej działalności Lenca i świetne, lecz dla Warszawy obojętne karykatury zbiorowe senatu Akademii sztuk pięknych w Krakowie p. t. „Cyrk Barnuma“ i „Na Olimpie,“ wykonane przez Frycza i Paucza.

Jak wielkiem i subtelnem dziełem sztuki może i powinna być karykatura, mieliśmy niedawno dowody na wystawie czasopisma *Jugend*; że poglądy te u nas są nowe i przyjmują się trudno, o tem świadczy obecnie urządzona wystawa. Cały dowcip polega tutaj na zręcznem „wyrysowaniu“ kogoś lub czegoś; o kolorze, o zastosowaniu pomysłów *malarskich*, o subtelnościach tonu, o plamie barwnej niema zupełnie mowy. W każdym razie poziom ogólny prac wystawionych przewyższa o wiele rysunki naszych pism humorystycznych.

Antoni Gawiński.

SPRAWY EKONOMICZNE

OBOWIĄZKOWE TOWARZYSTWA ROLNICZE.

Od czasu jak współzawodnictwo zamorskie zaczęło dawać się we znaki właścicielom ziemskim, objawia się wśród nich wielki popęd ku organizacyi z jednej strony, z drugiej — zapotrzebowanie pomocy państwowej. Ze skojarzenia tych dwu czynników wynika, że organizacya rozpatrywana jest jako środek nietylko pomocy własnej, która może się objawić w bardzo różnorodnych formach, ale i jako środek wpływania na machinę państwową, na politykę handlową i ekonomiczną wewnętrzną i zewnętrzną, na rozkład ciężarów itp. Ruch obejmuje właścicieli wielkich, zarówno średnich jak i drobnych, chociaż interesy ich bynajmniej nie we wszystkiem są identyczne. Prywatne stowarzyszenia, zarówno zawodowe, tj. mające na celu przedstawicielstwo i obronę interesów rolniczych, jak gospodarcze, zajmujące się organizacyą wzajemnego kredytu, pośrednictwem w nabywaniu narzędzi, nawozów, nasion, w sprzedaży produktów, lub zrzeszające wprost wytwórców w celu przeróbki produktów gospodarstwa rolnego itp., pod rozmaitemi nazwami rozwijają się od dość już dawna we wszystkich krajach Europy Zachodniej; szczególną uwagę ekonomistów zwracał dotychczas ich rozwój we Francyi, Belgii, Włoszech, Niemczech, Danii. Ale w ostatniem dziesięcioleciu widzimy prawie wszędzie, obok wzrastającego rozwoju tych stowarzyszeń prywatnych, również żądania urzędowego przedstawicielstwa rolników, lub nawet przymusowej ich organizacyi.

Najdalej w tym kierunku poszło prawo austryackie, uchwalone w końcu roku zeszłego przez Izbę deputowanych, a które Izba panów bez najmniejszej wątpliwości zatwierdzi. Naturalnie ten wyraz „najdalej“ stosuje się tylko do praw, a nie do projektów. W projektach swych szli agraryusze nieraz tak daleko, że żaden rząd nie uznał za możliwe je urzeczywistnić. Tak np. w czasach, kiedy to hr. Kanitz stawiał wniosek uregulowania handlu zbożem, agraryusze pruscy proponowali obowiązkowe stowarzyszenie wszystkich wytwórców żyta i pszenicy, oraz wszystkich młynarzy; każdy rolnik obowiązany byłby produkt swój oddawać stowarzyszeniu, które jedynie mogłoby je sprzedawać po ustanowionej przez siebie cenie i jedynie byłoby też uprawnione do wwozu zboża z zagranicy. Organizacya taka byłaby swego rodzaju kartelem, wymuszającym na spożywcach wysokie ceny za produkty rolne. Współcześnie jakoś odbywający się zjazd kas Raiffeisenowskich w Niemczech (XI zjazd w r. 1895), stojąc na gruncie inicyatywy prywatnej, nie przymusu rządowego, stawiał kwestyę inaczej: te organizacye własności drobnej, które dotychczas zajmowały się dostarczaniem kredytu, pośrednictwem w kupnie artykułów spożywczych a zbycie nabiału, oświadczyły, że czas byłby przystąpić też do organizacyi zbytu zboża, mięsa, chleba. W celu uregulowania podaży produktów rolnych i zapobieżenia wahaniom cen, żądano tedy, aby rząd budował magazyny, wydzierżawiał je towarzystwom i polecił bankowi państwowemu udzielanie pożyczek na zastaw produktów, złożonych w magazynach. Inny znów charakter miał wniosek Hermana Stolpa, przedstawiony w końcu r. 1894 parlamentowi niemieckiemu w formie petycyi: szło tam o utrzymanie i wzmocnienie stanu chłopskiego, tej podpory państwa, a to za pomocą t. zw. „Gehöferschaft.“ W każdej gminie wszyscy właściciele gruntów, mający najmniej tyle przestrzeni, ile potrzeba do wyżywienia rodziny, a najwyżej 150 hektarów, mieli być połączeni w korporacye, których zadaniem byłoby nietylko popieranie zawodowych i współdziałanie w interesach gospodarczych, ale któreby oprócz tego miały prawo pewnego dozoru nad gospodarstwem właścicieli pojedynczych, szczególnie nad sprzedażą gruntów, oraz możność zakupywania gruntów już na wspólną własność. Coś, jednem słowem, przypominającego pod pewnym względem hrubieszowskie Towarzystwo Staszica, pod innymi — mir rosyjski... Jednak te wszystkie projekty nie były urzeczywistnione i nic nie dodały do tego, co rząd pruski już nieco przedtem zrobił dla cierpiącego rolnictwa. W czerwcu 1894 r. mianowicie sejm uchwalił prawo, upoważniające rząd do zakładania w każdej prowincyi izb rolniczych, mających na celu urzędowe przedstawicielstwo interesów rolniczych wobec władz, oraz pedagogiczne niejako kierownictwo akcyi ratunkowej na polu kredytowem, gospodarczem itd. Izby takie faktycznie założono w większości prowincyj, w lipcu 1895 r. rząd pruski utworzył jeszcze „Centralną kasę towarzystw rolniczych,“ której pożyczył 5 milionów na rozwijanie kredytu osobistego. We Francyi stronnictwo Méline'a oddawna domaga się utworzenia podobnych *chambres consultatives d'agriculture*, oraz reformy rady przybocznej ministra rolnictwa w tym duchu, aby członków jej wybierały owe izby rolnicze; lecz dotychczas życzenia te nie stały się prawem *).

W Austryi już 1893 r. minister rolnictwa, hr. Falkenhayn, wniósł projekt prawa, tworzącego obowiązkowe towarzystwa rolnicze. Zmienne losy parlamentarne zmuszały różne ministerya do sześciokrotnego wznawiania tego projektu, aż wreszcie teraz, pod wpływem głośnej mowy dr. Körbera, która groziła zamachem stanu, jeśli parlament się nie poprawi, był on szczęśliwie uchwalony. Pierwotnie towarzystwa te miały być ściśle połączone z wprowadzeniem włości rentowych, które miały być środkiem zaradczym na odłużenie posiadłości ziemskiej, a to drogą upaństwowienia długów hypotecznych i rozłożenia ich na raty roczne. Ten drugi projekt jednak spotkał się ze złem przyjęciem. Rządy następne, w szczególności minister rolnictwa hr. Ledebur, musiały więc cofnąć projekt pierwotny i wnieść nowy, w którym obowiązkowe towarzystwa rolnicze zostały zupełnie uniezależnione od włości rentowych. Ten to nowy projekt musiał być ponawiany kilkakrotnie; ostatnie jego gruntowne umotywowanie datuje się z r. 1896, kiedy wniosło go ministeryum Badeniego. W umotywowaniu tem rząd powołuje się na wszystkie powyżej przytoczone projekty i prawa francuskie i niemieckie; ba! powołuje się nawet, zupełnie już nie wiadomo dlaczego, na projekt radykalnego deputowanego włoskiego Rinaldiego, postawiony w parlamencie rzymskim 1895 r., aby grunty gminne i rządowe oddać w każdej gminie na wspólną własność bezrolnym i aby do tej spółki mogli później ze swymi gruntami przystępować inni — właściciele...

Projekt — a dziś już można powiedzieć: prawo austryackie — jest jednak jedynym w swoim rodzaju z tego względu, że czyni należenie do korporacyi obowiązkowem dla wszystkich posiadaczów rolnych. Obowiązkowość tę krytykowali niektórzy posłowie nie-agrarni. Jest ona wzorowana bezpośrednio na organizacyi prawnej (niedawnej) cechów rzemieślniczych miejskich w Austryi; otóż, mówiono, zasada ta okazała się szkodliwą, ponieważ gdy mniejszość, jak w dobrowolnych stowarzyszeniach, nie może wystąpić, to większość partyjna rządzi stronniczo i nadużywa swej władzy. Natomiast agraryusze dowodzili, że ludność wiejska jest zbyt bierną, aby jej inicyatywie można było pozostawić przystępowanie do stowarzyszenia; trzeba ją więc zmusić dla jej dobra tak, jak prawo nakłada przymus szkolny. Tem bardziej, że ze starań i zabiegów stowarzyszeń prywatnych płyną korzyści dla wszystkich rolników. Sprawiedliwem więc jest, aby ponosili wszyscy przymusowo i ciężary. Jednakże cel, jaki agraryusze pragną osiągnąć za pomocą tego przymusu organizacyjnego, jest oczywiście inny, donioślejszy i mniej idealny; nie jest on całkiem jasny na pierwszy rzut oka. W cechach miejskich, gdzie istnieje dowód uzdolnienia i obowiązują pewne przepisy, dotyczące produkcyi, chodzi oczywiście o uniemożliwienie współzawodnictwa z zewnątrz. W rolnictwie cel taki nie znajduje zastosowania. Agraryuszom widocznie idzie o to, aby módz prawnie występować w charakterze przedstawicieli całej ludności wiejskiej i w ten sposób mieć jeszcze większy wpływ na rząd; jeden z nich powiedział podczas rozpraw wyraźnie, iż ideą przewodnią projektu jest *Wille zur Macht* agraryuszów. Prócz tego spodziewają się może, że za pomocą tych stowarzyszeń będą mogli z czasem ustanawiać jednolitą cenę produktów — do czego jednak tymczasem prawo nie nadaje władzy stowarzyszeniom, chociaż w motywach rządowych wyraźnie powiedziano, że celem prawa jest umożliwienie osiągnięcia wyższych cen.

(D. n.).

K. Krauz.

*) Obecne ministeryum francuskie złożyło parlamentowi projekt utworzenia izb rolniczych we wszystkich powiatach, wybieralnych na lat 6, z prawami doradczemi. Projekt ten jest znacznie demokratyczniejszy od wszystkich innych, prawo bowiem wyborcze nadaje nietylko właścicielom i dzierżawcom wszelkich stopni, nietylko nauczycielom szkół rolniczych i ludowych, ale i robotnikom wiejskim, o ile od pewnego czasu stale mieszkają w danym powiecie. Ci sami wszyscy, z wyjątkiem dzierżawców, są wybieralni.

NA MARGINESIE.

O zaziębieniu. Niema może przedmiotu w medycynie, któryby tak żywo interesował ogół i był zarazem tak ciemny dla nauki, jak istota i znaczenie zaziębienia w powstawaniu chorób. Sądzono dawniej, że nagła zmiana temperatury wywołuje pewne zaburzenia w krążeniu krwi danego miejsca ciała, co z kolei prowadziłoby do zmian chorobowych w rozmaitych narządach. Od czasu jednak zapanowania bakteryologii, odrzucono ten pogląd, jako zbyt fantastyczny i upatrywano w bakteryach, znajdowanych w chorych tkankach, jedyne źródło dolegliwości. Dopiero w ostatniem dziesięcioleciu podano w wątpliwość decydującą rolę drobnoustrojów w powstawaniu chorób. Coraz szerzej opanówywa umysły nauka o *usposobieniu*, które niezbędne jest, ażeby powstała choroba. Ono jest tą glebą, na którą pada ziarno; jeżeli gleba jest niepodatna, wtedy cierpienie się nie rozwija. Zostało ono dawno stwierdzone dla chorób nerwowych i umysłowych, codzienne zaś doświadczenie przekonywa nas o znaczeniu jego w powstawaniu chorób zakaźnych, coraz zaszczytniejsze miejsce wyznacza mu nauka o szerzeniu się gruźlicy (ostatni kongres londyński).

Kwestyę tę zbadał naukowo dla cierpień reumatycznych prof. Baelz z Tokio, na którego pracę chcemy zwrócić uwagę. To, co zazwyczaj nazywamy reumatyzmem (miejscowe bóle w mięśniach, stawach), polega, według niego tylko na wrodzonej nadczułości organizmu na wpływy atmosferyczne i niema nic wspólnego z zakażeniem (jako wtargnięciem drobnoustrojów do tkanek). Jak istnieją pewne idyosynkrazye przeciwko poziomkom, rakom (pokrzywka), przeciwko zapachom pewnych roślin zbożowych (gorączka sienna), tak u wielu ludzi spotykamy pewną wrodzoną nadczułość układu nerwowego na zmiany ciepłoty powietrznej. Co więcej, według autora tego istnieją nietylko włókna nerwowe, przeprowadzające wrażenia cieplne (co dawno już zostało dowiedzione), ale i nerwy, na które działa nagromadzona w powietrzu elektryczność; istnieje nawet specyalny *zmysł atmosferyczny* podobnie jak mamy zmysł mięśniowy, zmysł równowagi, zmysł temperatury itd. Otóż, jeżeli istnieje silna wrażliwość na wpływy atmosferyczne, to przy najlżejszem podrażnieniu przez zimno, kurczą się naczynia skórne, krew odciągnięta zostaje do wewnętrznych części organizmu i wywołuje zaburzenia chwilowe w narządach, których tkanki odziedziczyły pewną wrodzoną słabość. Autor przypuszcza także, że wskutek zmniejszonego wydzielania przez skórę nagromadzają się we krwi trujące wytwory rozpadu substancyj białkowych, lecz nie zostało to jeszcze dowiedzione naukowo. To, co my w potocznej mowie nazywamy *hartowaniem* ciała, jest tylko powolnem wzrastaniem reakcyi obronnej organizmu przeciwko szkodliwym wpływom atmosferycznym. Baelz czynił ciekawe doświadczenia w tym względzie na sobie i pewnym Japończyku: stawali oni z obnażonemi stopami w zimie na chłodnych płytach kamiennych; okazało się, że po krótkim czasie ciepłota u B. spadła o 8,5°C., u Japończyka zaś tylko o 3°C.; do pierwotnej zaś ciepłoty stopa Japończyka wróciła po 6 minutach, Baelza zaś dopiero po 14. Oczywiście, organizm bardziej zahartowany łatwiej broni normy swego krążenia krwi.

Dr. W. S.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Paryżu, w „Bibliotece polskiej," rozpoczęto roboty wstępne około budowy Muzeum Mickiewicza, które powstaje z funduszów, przesłanych p. Władysławowi Mickiewiczowi przez komitet budowy pomnika w Warszawie. Muzeum zawierać będzie: pamiątki rodzinne, manuskrypty, wydawnictwa, studya i druki dotyczące Mickiewicza, we wszystkich językach. Kolekcyę tę gromadził organizator Muzeum przez całe życie. W ostatnich czasach zakupił od rodziny Ignacego Domejki za 3,500 fr. zbiór manuskryptów, listów i pamiątek, mających związek z życiem Mickiewicza, Zaleskiego, Garczyńskiego i innych romantyków polskich. (*Kur. Codz.*).

— Wskutek wielu podań, wnoszonych przez poszukujących pracy na kolei Syberyjskiej, zarząd jej nadesłał odpowiedź, iż posad wolnych niema tam wcale, a w niektórych wydziałach istnieją już długie listy oczekujących kandydatów.

Polskie wydawnictwa zagraniczne. *Warsz. Dn.* donoszą z Petersburga, że główny zarząd poczt i telegrafów polecił wszystkim instytucyom pocztowym, w których odbywa się bezpośrednia wymiana pakietów pocztowych z pocztami zagranicznemi, aby w razie otrzymania w tych pakietach wydawnictw pod opaską, drukowanych, litografowanych, odbitych na hektografie lub wykonanych w inny sposób za granicą, nie odsyłały ich do komory, lecz zwracały niezwłocznie za granicę. — Dla zrozumienia powyższego rozporządzenia dodajemy, że w przyszłości wszystkie przesyłki wydawnictw polskich z zagranicy będą mogły przychodzić tylko w kopertach zamkniętych.

Hakata. Zapowiedziany w zeszłym tygodniu w Poznaniu odczyt p. Szymona Askenazego p. t. „Ustęp z dziejów 1795 do 1815 r.," nie doszedł do skutku z powodu zakazu policyi poznańskiej.

— Regencya gdańska uwolniła od obowiązków nauczyciela w Sankowicach, Jerkowitza, za to, że publicznie rozmawiał po polsku.

Paszporty. *Warsz. Dn.* pisze: „Mnóstwo osób, odnawiając paszporty krajowe, nadsyła do właściwej władzy rubla, nie wiedząc o tem, że za nowy paszport płaci się 25 kop. Pozostałe 75 kop. niektóre urzędy wnoszą do kasy rządowej jako depozyt do zwrotu osobie interesowanej, gdzieindziej zaś nadpłaty te stanowią dochód pisarzy. W niektórych miejscowościach dochód ten wynosi 2—3 tysięcy rubli rocznie. Należałoby znieść te nielegalne dochody i zaoszczędzić ludziom niepotrzebnych wydatków, tem bardziej, że dla osób niezamożnych są one bardzo uciążliwe."

Prasa. P. E. Weydel otrzymał pozwolenie na wydawanie w Warszawie miesięcznika p. n. *Ateneum.*

— Kowieńskiemu Tow. rolniczemu pozwolono wydawać miesięcznik p. n. „Wiadomości kowieńskiego Towarzystwa rolniczego," pod redakcyą p. Piotra Stołypina.

Dla kobiet. Ministeryum oświaty wydało rozporządzenie, że uczennice, które ukończyły cztery klasy gimnazyum lub progimnazyum i wstąpiły do szkoły felczerskiej, mogą przy zdawaniu na patent felczerski być egzaminowane z języka łacińskiego w zakresie kursu dla gimnazyum męskiego.

— Ministeryum poleciło zarządzającemu warszawskim okręgiem naukowym zapytać rad pedagogicznych gimnazyów żeńskich, czy byłoby pożytecznem i wykonalnem utworzenie przy gimnazyach, na wzór istniejących pedagogicznych, oddziałów handlowych, w których wychowanki gimnazyów mogłyby przejść kurs buchalteryi handlowej i innych nauk specyalnych, by zdobyć możność pracowania później w zawodzie handlowym i w biurach.

Szkoły. Praktykowane dotychczas przez szkoły handlowe polecanie mieszkań dla uczniów zostało zniesione; rodzice nadal będą mieli prawo swobodnego wyboru pod tym względem, byle tylko zawiadamiali zwierzchność szkolną o miejscu zamieszkania swych dzieci. Nauczycielom polecono nie przyjmować uczniów na stancyę.

Rozporządzenia urzędowe. Gubernator kijowski wydał następujące rozporządzenie: „Zabrania się w fabrykach i zakładach, położonych w granicach miasta, używania świstawek parowych i syren w celu wzywania lub uwalniania robotników od zajęć, jak również w innych okolicznościach."

Ruch kobiecy. Sejm norweski przyznał kobietom prawo zasiadania w sądach.

Oświata. W ministeryum skarbu utworzono komisyę w celu opracowania przepisów obowiązkowego nauczania małoletnich robotników fabrycznych.

Hygiena. *Gaz. Pols.* donosi, iż zwierzchność warszawskich szkół handlowych, wziąwszy pod szczególną uwagę potrzebę czystości wśród uczniów, zaprowadziła w szkołach swoich częste oględziny lekarskie. Niektóre zakłady wydają uczniom tańsze bilety kąpielowe, jeden zaś urządza kąpiele własne dla uczniów.

Poczta. Dochód z poczty wynosił w roku ubiegłym 1,427,000 rb., czysty zysk — milion rubli. W porównaniu z r. 1900 dochód wzrósł o 106,500 rb.

Ubezpieczenia. Od d. 18 stycznia wszystkie Towarzystwa ubezpieczeń od ognia i transportów, działające w całem państwie, podwyższyły premie ubezpieczeniowe o 20, 40 i 70 proc. Najwyższej opłacie podlegają towary, znajdujące się w sklepach i składach małomiasteczkowych. Również i stopę procentową t. zw. ryzyka znacznie podwyższono.

Zdrowie publiczne. Miasto Smyrnę ogłoszono za niebezpieczne z powodu ukazania się dżumy.

Wystawy. W Muzeum Narodowem w Krakowie otworzono pierwszą wystawę „polskiej sztuki stosowanej," która podzielona jest na trzy działy: budownictwo polskie, usiłowania współczesne i materyały historyczne.

— „Polską wystawę fotograficzną" otworzono w tygodniu ubiegłym w Krakowie.

Opieka nad dziećmi. Główny zarząd więzień wydał rozporządzenie, aby niepełnoletnie dzieci więźniów, do lat 17, umieszczane były w ochronach specyalnych przy więzieniach lub w ochronach miejskich Tow. dobroczynności, albo też u osób prywatnych i dozorców więziennych, moralnego prowadzenia, za pewną oznaczoną opłatą. W wyjątkowych tylko wypadkach dzieciom wolno będzie pozostawać z rodzicami, lecz w takim razie w celach osobnych.

Rolnictwo. Zorganizowane zostało w Warszawie Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od gradobicia p. n. „Ceres."

— Wskutek odezwy do ministra skarbu jednego z gubernatorów Królestwa Polskiego, że znaczna liczba podań obywateli ziemskich tutejszych do właściwych izb skarbowych o przyznanie im ulg w płaceniu podatków nie jest uwzględniana z powodu ścisłego stosowania art. 203 ustawy o podatkach bezpośrednich, oraz powoływania się izb skarbowych na zupełnie przestarzały już teraz szacunek nieruchomości, nieodpowiadający ich rzeczywistej teraźniejszej wartości, ministeryum skarbu rozesłało do prezesów izb skarbowych w Królestwie Polskiem okólnik, w którym wyjaśnia, że ulgi podatkowe ziemianom tutejszym przyznawane być mają bez względu na istniejące przepisy w następujących wypadkach: w razie pożaru, powodzi lub nieurodzaju, jeżeli ilość ocalałych zbiorów wynosi od $\frac{1}{4}$—$\frac{5}{8}$ przeciętnych zbiorów za ostatnie trzy lata; w razie upadku inwentarza żywego, w następstwie czego może być zamierzwiona jedynie $\frac{1}{4}$ część gruntu lub też gdy wskutek upadku inwentarza roboczego może być uprawiona tylko $\frac{1}{4}$ pól znajdujących się pod pługiem. Co zaś do szacunku majątku, to ogólne przepisy wymagają, aby w razie żądania ulg podatkowych $\frac{1}{4}$ część wartości majątku nieruchomego była bezwarunkowo wolna od wszelkich długów hipotecznych i tej zasady izby skarbowe muszą się nadal trzymać. Art. 206 ustawy o podatkach bezpośrednich, określający szacunek majątku nieruchomego, czasowo zawiesza się i wzamian tego, jako istotny, ma być brany szacunek stosowany do pożyczek udzielanych w Królestwie Polskiem przez Towarzystwo kredytowe ziemskie. W końcu okólnik znosi pobieranie kar i procentów od zalegających podatków, które zostaną rozłożone na raty.

Przemysł i handel. Ministeryum rolnictwa postanowiło zająć się popieraniem przemysłu drobnego w kraju naszym i w tym celu zamierza do miejscowości, w których bywa uprawiany ten rodzaj przemysłu, wysyłać specyalnych instruktorów, aby zapoznali ludność z udoskonalonymi systemami produkcyi; prócz tego zamierza pomagać w urządzaniu w tych miejscowościach stałych muzeów przemysłu drobnego i stałych wystaw wzorów produkcyi, oraz warsztatów itp. Przed wprowadzeniem środków, mających na celu popieranie przemysłu drobnego, ministeryum szczegółowo zbada stan jego w Królestwie Polskiem i w tym celu wydeleguje specyalistów ze swego łona.

Wynalazki. Inżenier londyński Amstrong, wynalazł sposób przenoszenia światła elektrycznego bez przewodników drutowych. Doświadczenia, dokonane na odległości 5 mil angielskich od stacyi elektrycznej, dały podobno rezultaty świetne.

Zmarli. Ernest Wichert, w Berlinie, powieściopisarz i dramaturg niemiecki. Tłem jego utworów były przeważnie stosunki Prus Wschodnich i Litwy Pruskiej. Żył lat 71.

— Filip Marchetti, w Rzymie, kompozytor muzyczny, twórca kilku oper.

— Prof. dr. v. Ziemssen, w Monachium.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. S. Fraz. w Radomiu. Drukować nie będziemy.

Panu Pruszyńskiemu w Romanowie. Na zarzuty znajdzie Sz. Pan odpowiedź w numerach następnych *Prawdy*. Tłomaczono na polski tylko dwa tomy szkiców i powieści Bornego. Czy warto tłomaczyć inne prace — wątpimy.

[illegible]owi w Zurychu. Można; ale trzeba zdawać z sześciu i z siedmiu klas jednocześnie. Po program zgłosić się należy do kancelaryi szkoły, ul. Jezuicka 4.

Panu L. B. w Petersburgu. Wydrukujemy wkrótce. Ciekawe. Dziękujemy.

P. Zbyszkowi. Obrazek Pański nie ma żadnej wartości literackiej, a myśl choć niby szlachetna, nie ma szczerości i prostoty. Obie postacie bohaterów—kłamliwe i sztuczne: „ona" nie będzie „taką," jeśli tak myśli i czuje, a „on" jest nadto już chyba porcelanowy.

Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Января 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.